POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 11-go listopada 1944r.** **Rok VI. Nr. 45**

NIEPODLEGŁOŚĆ

"Experience has proved that it is not by counteracting all their habits and usages as a people that either the happiness of the Poles or the peace of that important portion of Europe can be preserved."

/Doświadczenie dowiodło, iż nie można zapewnić szczęścia Polakom, ani pokoju tej ważnej części Europy — przez gwałcenie ich zwyczajów i form życia, jako narodu./

Viscount Castelreagh — 12 stycznia 1815.

PRZECIW CZTEREM ROZBIOROM

Trzy rozbiory Polski zostały powszechnie uznane za zbrodnię. Czwarty rozbiór, którego dokonał Traktat Wiedeński w 1815 roku, długo przedstawiano jako konieczność nowego, lepszego ładu europejskiego. Wielu politycznych entuzjastów postanowień Kongresu, obradującego w rozbawionej stolicy naddunajskiej, i dziś jeszcze zapomina, iż na krzywdzie jednych nie można budować spokoju władania drugich. Traktat Wiedeński zapewnił coprawda Europie pokój na długi okres czasu, nie dlatego jednak, że znalazł sposób na najlepszą obronę maluczkich, lecz dlatego, że dał nieograniczone możliwości działania możnym. W stosunkach międzynarodowych wiek XIX nie znał demokracji, choć w organizacji poszczególnych społeczeństw zasady demokracji roznamiętniały masy, prowadziły je na barykady i pozwalały rozsadzać twierdzę przywilejów za twierdzą. Z bliźniaczego płodu XIX wieku socjalizm triumfował w mnożeniu zdobyczy społecznych, nacjonalizm dorabiał się na ogół tylko grubych tomów patriotycznych wierszy i płomiennych manifestów.

Dyplomacji brytyjskiej zawdzięczamy, że Traktat Wiedeński, nie dając Polsce niepodległości, spisał szereg ważkich postanowień o ochronie narodowych praw Polaków, rozproszonych po trzech zaborach. Postanowienia te pozostały jednak bezwartościowym świstkiem papieru. Okazało się, że dobra narodu, mającego za sobą prawie tysiąc lat samodzielności politycznej, nie da się zabezpieczyć klauzulami traktatowymi w ramach innej, obcej państwowości. Z jednej strony bowiem taki naród zawsze rwać się będzie do niezawisłego bytu, z drugiej zaś obce państwo, obawiając się politycznej prężności tego narodowo jednolitego żywiołu, zechce dążyć do coraz silniejszego jego uciemiężenia. Warunki narodowej egzystencji Polaków po roku 1815 stopniowo pogarszały się, siły narodowe coraz bardziej parły do zrzucenia obcych jarzm. Gdy starczyło sił, kajdanami targały powstania, gdy możliwości oporu były wątłe, sumieniem świata targał płacz wrzesińskich dzieci czy wymowny upór chłopa-Drzymały.

SPRAWA POLSKA W PIERWSZEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Sprawa Polski nie zeszła z porządku politycznych rozważań Europy. Dopiero jednak Pierwsza Wojna Światowa wznowiła wreszcie proces Polaków przeciw czterem rozbiorom. Wagę zagadnienia zrozumiał cały świat. Polacy nie wybrali jednej formy działania na rzecz swej sprawy. Poszli dwoma drogami za dwoma przewodnikami — Dmowskim i Piłsudskim. Skoro wszystkie drogi wiodą do Rzymu, dlaczegoby dwie nie doprowadziły do — Warszawy. Wola osiągnięcia celu była u wszystkich niezłomna, wysiłek nadludzki, poświęcenie tak wielkie, że nie byłoby Boga w niebie a Królowej Polski w Częstochowie, gdyby ofiara poszła na marne.

W sierpniu 1917 roku Ojciec Święty skierował do państw prowadzących wojnę notę, w której między innymi wskazał na konieczność odbudowy państwa polskiego:

"Ten sam duch równości i sprawiedliwości winien kierować zbadaniem innych spraw terytorialnych i politycznych, a szczególnie . . . problemu starożytnego królestwa polskiego, Polski, dla której narody powinny czuć szczególną sympatię z powodu jej wspaniałej tradycji historycznej i z powodu jej cierpień, poniesionych w tej wojnie".

12 grudnia 1917 roku włoski mąż stanu Orlando zwrócił się do swego parlamentu z deklaracją:

" . . . że stworzenie niepodległej i niepodzielnej Polski na podstawie zasad, które zapewnią jej swobodny rozwój polityczny i gospodarczy, stanowi jeden z elementów sprawiedliwego i trwałego pokoju".

Minister spraw zagranicznych Francji Pichon oświadczył 27 grudnia 1917 roku w Izbie Deputowanych:

"My mamy ścisłe obowiązki wobec narodów uciemiężonych . . . także w stosunku do Polski. Nie rozdzielamy jej sprawy od naszej; w pełni stoimy na zasadzie danych jej przyrzeczeń; pragniemy, aby była niepodległa, niepodzielna, mając zagwarantowany swobodny rozwój polityczny, gospodarczy, oraz wojskowy ze wszystkimi konsekwencjami, jakie z tego wynikają".

Od lat rozbiorów, poprzez cały XIX wiek i krytyczne lata Pierwszej Wojny Światowej z trybuny brytyjskiej Izby Gmin bez przerwy brzmiały słowa sympatii dla Polski i zrozumienia politycznych dążeń narodu polskiego. 5 stycznia 1918 roku wreszcie odezwał się Lloyd George, ogłaszając na zjeździe Związków Zawodowych cele wojny Imperium. Nie zapomniał on i o Polsce:

"Wierzymy, że niepodległa Polska, obejmująca wszystkie rzeczywiście polskie elementy, które chcą wejść w jej skład, jest pilną koniecznością dla stałości stosunków Zachodniej Europy".

Wielki brytyjski mąż stanu związał więc nierozerwalnie sprawę Polski ze stabilizacją stosunków politycznych europejskiego Zachodu. Od czasu, gdy Castelreagh we Wiedniu ważył sprawę Polski, jako zagadnienie europejskiego Wschodu, dużo się zmieniło. Sprawa Polski z politycznego kłopotu jednego regionu nabrzmiała wagą europejską.

8 stycznia 1918 roku Prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson proklamuje swoje czternaście punktów, z których trzynasty mówił:

"Musi być stworzone niepodległe państwo polskie, które powinno obejmować terytoria, zamieszkałe przez niewątpliwie polską ludność. Musi ono posiadać wolny dostęp do morza, a jego niezawisłość i terytorialna nienaruszalność musi być zagwarantowana układami międzynarodowymi".

Prasa oświadczenia mężów stanu poparła nieomal jednomyślnie. Między innymi *"Nineteenth Century"* pisał, że:

"Ententa nigdy nie może złożyć broni, póki haniebne rozbiory nie zostana usunięte i póki Polacy nie zostaną skupieni . . . w wielkim państwie, z Gdańskiem jako jego portem".

Przychodzi melancholijnie kiwać głową, gdy przeglądając prasę brytyjską z tych dni spotykamy wśród nielicznych, nieprzyjaznych Polsce głosów nazwiska, które i dziś są nam nieżyczliwe — H. N. Brailsforda lub G. P. Goocha na przykład. W lutym 1918 roku konferencja partii socjalistycznych Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Belgii uchwaliła rezolucję o odbudowie niepodległej Polski ze swobodnym dostępem do morza. 9 czerwca 1918 roku te wszystkie głosy pojedyńczych osób i narodów skupiły się w łączną deklarację Clemenceau, Lloyd George'a i Orlando, opublikowaną w Wersalu i ogłaszającą:

"Stworzenie zjednoczonego i niezależnego państwa polskiego, z wolnym dostępem do morza, stanowi jeden z warunków . . . panowania prawa w Europie".

WKŁAD POLAKÓW DO DZIEŁA NIEPODLEGŁOŚCI

Pokłosie deklaracji stworzyło klimat, w którym sprawa niepodległości Polski dojrzewała w opinii międzynarodowej. Nikt i nic nie oszczędziło jednak narodowi polskiemu trudu parania się z okolicznościami, które te deklaracyjne słowa miały dopiero przetworzyć w rzeczywistość. Kraj był zniszczony działaniami wojennymi, wycieńczony okupacją, zdezorganizowany koniecznością zbudowania nowej administracji państwowej na miejsce ruin, w które rozpadły się trzy odrębne gmachy zaborów. Ciemiężców trzeba było zbrojnie z Polski przegonić. Wśród wielu cudownych objawień pierwszego okresu niepodległości polskie dziejopisarstwo niewątpliwie podkreśli przede wszystkim zbrojny zryw ludu śląskiego, który po nieomal 600 latach nienależenia do polskiego kręgu politycznego ocknął się z takim samym uczuciem, jakie kierowało braćmi jego znad Wisły i Warty.

Niemiecka filozofia narodowa wśród wielu głoszonych fałszów słusznie zauważyła, że naród, to nie tylko ci, którzy żyją i deklarują się jako członkowie danej zbiorowości oraz dla niej pracują, ale to i ci, którzy umarli, i ci, którzy się dopiero narodzą. Jest w tym stwierdzeniu nie tylko podkreślenie ciągłości narodowej tradycji, narodowej więzi i zbiorowego wysiłku. Jest przede wszystkim podkreślenie faktu, że życie narodu w jednym pokoleniu się nie wyczerpuje. Że jednemu pokoleniu źle, to nie przyczyna lamentować, że źle z narodem. Że jedno pokolenie nie widzi jasno wszystkich rezultatów swych usiłowań, to nie znaczy, że nie będzie pełni triumfu całego narodu w przyszłości. Człowiek żyje przecież tylko dziesiątki lat, naród trwa wieki.

Listopad 1918 roku przyniósł odrodzenie państwowej struktury Polski, bo na to pracowały poprzednie pokolenia, które osobistego szczęścia nigdy w pracy publicznej nie zaznały i nie dotknęły namacalnie swych osiągnięć. I my nie wiemy, czy Opatrzność da nam szczęście doczekać wszystkich wyników naszych starań. Nie doczekali się ci, którzy legli we wrześniu, zgaśli w piachu Libii, utonęli u brzegu fortecy europejskiej, skonali w załomach skalnych Monte Cassino. Nie wiemy, czy będziemy szczęśliwsi od nich. Czymże jest zresztą szczęście w służbie państwa i narodu? Może nie tyle zadowoleniem z samego siebie, ile doczekaniem uznania potomności, uznania tych, którzy się dopiero urodzą i którzy surowo sądzić będą to, cośmy zdziałali lub co jeszcze zdziałamy dla — niepodległości. Komu określenie "potomność" wydaje się mgliste, niech podstawi sobie na to miejsce zwrot "mój syn". Synowie nas osądzą albo przeklną.

PRZESZKODY I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Rachunek przeszłości w dzisiejszą rocznicę tego szczęśliwego dla Polaków listopada 1918 roku nasuwa nie tylko rozważania moralne. Są i konkluzje polityczne. Los Polski zależał nie tylko od Polaków i nie tylko od ich woli posiadania państwa. W sprawach naszego bytu państwowego wyjątkowo silniej, niż u innych narodów, grały i grają siły od nas niezależne, które polityka nasza czy polityka innych może albo wyzwalać przeciw nam albo wiązać w naszej obronie. Tu zaczyna się nie tyle odpowiedzialność społeczeństwa, ile odpowiedzialność politycznego kierownictwa państwa wobec potomności.

Była ona niesłychanie wielka w 1918 roku. Trzeba stwierdzić, że polskie kierownictwo polityczne wówczas zadaniom tym sprostało. Starczy zajrzeć do protokułów obrad Konferencji Pokojowej w Paryżu, aby widzieć i ocenić rolę przedstawicieli naszych tamtego okresu. Mimo to nie udało się nam przełamać w wielu sprawach nieprzyjaznego układu sił, zwłaszcza w odniesieniu do niektórych spraw granicznych. Mieliśmy bowiem, obok koniunkturalnie nam nieprzyjaznych wiatrów, jeszcze do pokonania przeszkodę, że Polski na mapie świata długo nie było. W Eton i w Oxford, w Harvard University czy w Sorbonie kształciło się kilka pokoleń polityków międzynarodowych, nie oglądając geograficznego obrazu Polski. Było pojęcie narodu, nie było utrwalonego kształtu obszaru, na którym naród nasz osiadł, działał i wykazał się kulturalnym dorobkiem. Polska — to wiedziano. Jaka Polska — o to się sprzeczano.

* * *

Rocznice wielkich zdarzeń historycznych zapraszają do snucia porównań. Nie ulegniemy tej pokusie i nie ulegajmy. Chwila jest inna i zadanie inne. Jest przede wszystkim jedna różnica: w 1918 mieliśmy niepodległość dopiero odzyskać, teraz mamy ją zachować. Zachować od skutków uderzenia, którym niemiecki najeźdźca postanowił nie tylko zmazać z mapy świata państwo polskie, ale i zniszczyć narodową treść Polski. Chciał zaorać groby, wybić żyjących i zakazać narodzin — potomności. I dlatego bardziej, niż w Pierwszej Wojnie Światowej Polska jest politycznie związana z koalicją, która Niemców kruszy, która Niemców złamie.

JÓZEF WINIEWICZ

rys. JERZY FACZYŃSKI



Przegląd tygodniowy

POŁOŻENIE NA FRONTACH EUROPEJSKICH

Tydzień ubiegły — liczymy go od poniedziałkowego południa i zamykamy o tejże porze — nie przyniósł sensacyjnych wydarzeń na frontach. Dokonywało się raczej w dziedzinie operacyjnej to, co uprzednio już było w toku. Tak więc i na Zachodzie nie było nowych, rozstrzygających uderzeń, ale nie było i zastoju w operacjach. Prowadzone były bez przerwy, a rozgrywająca się obecnie kampania jesienna jest według oświadczenia prezydenta Roosevelta wstępem do zamierzonej wielkiej kampanii zimowej.

Wśród szeregu tych operacyj wstępnych najdonioślejsze, podobnie jak w poprzednim tygodniu, rozgrywały się w południowo-zachodniej Holandii, gdzie Niemcy wśród ciężkich walk tylnych straży pod naporem wojsk brytyjskich, polskich i kanadyjskich musieli odejść za dolną Mozę, ich pozycje u ujścia Skaldy upadły, blokująca dostęp do tego ujścia i portu Antwerpii wyspa Walcheren w całości prawie zdobyta, ostatnie działa nadbrzeżne, zagrażające tu żegludze sojuszniczej zamilkły.

Nieraz już zwracaliśmy tutaj uwagę na podstawowe znaczenie oswobodzenia tego ogromnego portu dla przyszłej ofensywy Sprzymierzonych na Niemcy. W najbliższej już przyszłości popłynie tędy strumień nieprzerwany ludzi, sprzętu, zasobów, konieczny do pełnego rozwinięcia posiadanej, druzgocącej przewagi nad walczącym rozpaczliwie przeciwnikiem.

Na pograniczu Rzeszy były tymczasem zacięte walki lokalne. Ale cała zachodnia połać Niemiec dygotała wciąż od wybuchów bomb, miażdżona w dzień przez lotnictwo amerykańskie, nocą przez Brytyjczyków.

Na froncie włoskim, gdzie słota utrudnia działania, wojska sprzymierzone dokonały nowych postępów ku Rawennie i Bolonii, przy zaciętym jeszcze oporze przeciwnika. Są przypuszczenia, że Kesselring usiłuje przez te walki wygrać na czasie, pokąd śniegi zimowe nie zawalą komunikacyj w Alpach i nie zamkną Sprzymierzonym dróg na Wiedeń i Monachium. Ryzykowna to gra, gdy walczy tam o 600 — 700 km. od Wiednia, a Rosjan dzieli już tylko 300 km. od tego miasta.

Cała Grecja oswobodzona; Niemcy wycofują się szybko z Albanii i z południowej Jugosławii. Jak się zdaje zdołali oni jak dotąd wyciągnąć swe dywizje bez masowych strat. Mają jednakże jedną już tylko drogę odwrotu: na Sarajewo, Zagrzeb, Graz, Wiedeń. Droga to w wielu miejscach zniszczona, a przejście, odcinane raz po razu przez Jugosłowian, wciąż muszą sobie wywalczać. Droga długa, do 900 km. A Rosjanie — jak wspomniano wyżej — są o 300 km. od jej punktu docelowego. Jest to odległość z Budapesztu do Wiednia.

O Budapeszt toczy się wielka bitwa. Niemcy nie ukrywają, że położenie tu krytyczne i że kierunek ten stał się szczególnie dla nich groźny. Oczywiście nie oddadzą oni Wiednia bez nowej bitwy, i wyzyskają wymuszone skrócenie frontu, by raz jeszcze stawić czoła przeciwnikowi. Rzecz w tym, czy ich uszczuplone siły pozwolą na skuteczny opór.

W Prusach Wschodnich natomiast — jak Niemcy zapewniają — pierwsza wielka bitwa w obszarsze Gąbina i Gołdapu skończyła się ich zwycięstwem. Zwycięstwo to w każdym razie tylko negatywne: powstrzymanie ofensywy sowieckiej i częściowe odzyskanie terenu. Walki toczą się jednak dalej na ziemi wschodniopruskiej.

Można stwierdzić, że w tej chwili najgroźniejszy wyłom w fortecy hitlerowskiej jest na południowym wschodzie, nad Dunajem, że Niemcy przygotowują dalej w tyle /gdzieś między Alpami a Małymi Karpatami/ rozpaczliwą obronę, tymczasem jednak powstać mogą dalsze, nie mniej groźne wyłomy. Wojna europejska przeciąga się na szóstą zimę, ale bliski jest czas, gdy prawo przyśpieszenia zacznie znowu działać naocznie.

WOJNA I POLITYKA NA DALEKIM WSCHODZIE

W wyniku zwycięstwa u wysp Filipin ofensywa armii MacArthura poczyniła dalsze postępy. Ciosy, zadawane flocie i żegludze amerykańskiej przez lotnictwo japońskie z lotnisk lądowych były może poważne, jednakże nie odwróciły sytuacji. Rozgrywa się tu pierwszy na tę skalę pojedynek o przewagę w powietrzu między lotnictwem amerykańskim z lotniskowców a japońskim z lądu. Wszystkie korzyści pod względem operacyjnym są — zdawało by się — po stronie Japończyków. Amerykanie biją ich zapewne wyższością sprzętu, na pewno zaś wyższą zręcznością i sprawnością załóg. W miarę opanowywania lotnisk i lądowisk na wyspach, szanse przesuwać się będą na ich stronę.

W Burmie odżyły działania zaczepne "zapomnianej" 14-tej armii. Są tu objawy ogólnego odwrotu Japończyków i przewiduje się odzyskanie "drogi burmeńskiej", a tym samym możliwości wydatniejszej pomocy sprzętowej dla Chin.

Tymczasem doszło do pewnego kryzysu w wojnie chińsko-japońskiej. Od dłuższego czasu można było wyczuć pewne rozczarowanie brytyjskich i amerykańskich mężów stanu na tle przebiegu operacyj armii marszałka Cziang-Kai-Szeka. Oczekiwano od nich ofensywy w większym stylu, celem zdobycia dla lotnictwa sprzymierzonego baz do skutecznego atakowania żywotnych punktów japońskiego systemu strategicznego. Zarzucano Chińczykom brak energii w prowadzeniu wojny. Ci uzasadniali swą wyczekującą postawę nikłością pomocy sprzętowej, otrzymywanej drogą powietrzną. Była ona na pewno olbrzymia zważywszy przestrzenie, teren i pojemność samolotów; na pewno zaś pod względem wydajności ustępować musiała najmniej nawet wydajnej linii kolejowej, czy szosie.

Tymczasem Japończycy sami podjęli ofensywę w Chinach środkowych, odrzucili wojska chińskie, opanowali wysunięte bazy "nadfortec" amerykańskich. Przykry ten wypadek zeszedł się zaś z kryzysem w dowództwie armii chińskich i w stosunkach międzysojuszniczych. Na żądanie Cziang-Kai-Szeka prezydent Roosevelt odwołał generała Stilwella, szefa amerykańskiej misji wojskowej w Czunk-Kingu, a zarazem szefa chińskiego sztabu generalnego i głównodowodzącego chińskich armii na froncie przeciw Japończykom. Odwołanie to — według komentarza Prezydenta — nie było wywołane żadnym głębszym nieporozumieniem.

Jednakże szeroko rozeszły się pogłoski o różnicach w poglądach na prowadzenie wojny. Mówi się, że walka z niezależną chińską armią komunistyczną w Chinach północnych zaprząta Cziang-Kai-Szeka bardziej od wojny z Japonią. Od dłuższego czasu były ze strony sowieckiej ataki na "reakcyjny" rząd czungkiński. Teraz głośno w Ameryce o tym, że Chiny nie są właściwie demokracją, a w każdym razie nie są potęgą czynną. Prowadzenie wojny splątało się tutaj z polityką światową. Zaznaczył się poważny rys w całej budowie porządku powojennego, opieranego na współpracy czterech mocarstw, z Chinami jako czwartym. Uwydatniła się zarazem wielka trudność płynąca stąd, że Sowiety nie są w wojnie z Japonią, ich chińscy zaś przyjaciele są w wojnie z chińskim sojusznikiem mocarstw anglosaskich.

POWIKŁANIA POLITYCZNE I WYBORY AMERYKAŃSKIE

Jeszcze tydzień temu prasa światowa widziała główną komplikację polityki mocarstw sprzymierzonych w niezałatwieniu sprawy polskiej, omawiała żądania sowieckie w stosunku do Polski, ich poparcie przez premiera Churchilla, zagadnienie utrzymania naszego bytu niepodległego. Ostatni tydzień przysporzył powikłań w dziedzinie współpracy międzynarodowej.

Poważnym objawem była odmowa Sowietów wzięcia udziału w konferencji waszyngtońskiej w sprawie komunikacyj powietrznych. Konferencję tę zwołały Stany Zjednoczone. Moskwa uzasadniła odmowę udziałem w konferencji Hiszpanii, Portugalii i Szwajcarii, określając te państwa jako nieprzyjazne Związkowi Sowieckiemu. Poza podważeniem znaczenia konferencji i mocy jej uchwał, oświadczenie to musiało wywołać zakłopotanie, zwracając się przeciw Portugalii, sprzymierzonej z Wielką Brytanią i Szwajcarii, będącej, choć neutralna, szczególniej moralnie bliską demokracjom zachodnim i prawdziwą ostoją wolności i praworządności w tej części Europy.

Z kolei przyszła z Moskwy pod adresem Szwajcarii ostra odmowa przywrócenia stosunków dyplomatycznych, z tym samym uzasadnieniem postawą nieprzyjazną w stosunku do Związku Sowieckiego. Pojawiło się nawet oskarżenie Szwajcarii o sympatie faszystowskie.

Wśród innych trudności największa bodaj wywiązała się od dłuższego czasu w stosunku do Persji i tymi dniami przeszła w stan ostrego kryzysu. Moskwa oskarżała Persję o nieprzyjazną politykę w związku z odraczaniem na czas powojenny przyznania Związkowi Sowieckiemu koncesyj naftowych w północnym Iranie. Ze strony rosyjskiej powoływano się na fakt, że Persja ma już odpowiednie układy z Wielką Brytanią i Ameryką. Podnoszono również, że bez żadnego specjalnego układu wojska amerykańskie są na terytorium irańskim. Politykę perską oskarżano o reakcyjność, domagając się zmiany rządu. W Teheranie doszło do demonstracyj. Wreszcie zaostrzenie się kryzysu wywołało przesilenie rządowe i decyzję wysłania do Moskwy misji celem podjęcia układów.

We wtorek 7 listopada odbędą się w Stanach Zjednoczonych wybory elektorów jako decydujący akt pierwszy wyborów prezydenckich. Może to oznaczać — jeśli zdecydowaną większość wybranych będą stanowić zwolennicy dotychczasowego prezydenta — koniec kilkomiesięcznego okresu, powtarzającego się co cztery lata, w ciągu którego polityka tej wielkiej demokracji ma poniekąd wyłączony silnik: wóz idzie dalej nadanym mu popędem, w nadanym mu kierunku, ale nie uczestniczy na razie w międzynarodowych zawodach.

Idzie teraz o powrót polityki amerykańskiej z jej wyborczych wywczasów i o to, z jaką polityką ojczyzna Washingtona, Franklina, Jeffersona, Lincolna i Wilsona wejdzie w nowe czterolecie, jedno z najważniejszych w jej historii i w dziejach ludzkości.

TRIARIUS

ODEZWA RZĄDU R.P. DO POLAKÓW ZAMIESZKAŁYCH WE FRANCJI, BELGII I WK. KS. LUKSEMBURGU

POLACY!

Zwycięskie Armie Sprzymierzonych gromią odwiecznego naszego wroga na ziemiach, francuskiej, belgijskiej, W. Ks. Luksemburgu i holenderskiej.

Przy ich boku Polskie Siły Zbrojne wzbudzają swym męstwem podziw świata i wdzięczność wyzwalanych narodów.

Wyrębujemy ponownie mieczem należne nam miejsce wśród wolnych Narodów Świata.

Żołnierz polski, marynarz i lotnik walczy i zwycięża na lądzie, morzu i w powietrzu.

Armia Krajowa zmaga się w bohaterskiej, bezprzykładnie ofiarnej walce na ziemiach polskich.

Polskie Siły Zbrojne walczące przy boku Aliantów potężnie wyposażone w sprzęt wojenny nieustannie rosną w siłę.

Gdy Polska przed pięciu laty znalazła się w najcięższej potrzebie, wychodźstwo polskie we Francji, Belgii i W. Ks. Luksemburgu dowiodło swej ofiarnej gotowości ratowania Ojczyzny, wypełniając szeregi odtwarzanych Polskich Sił Zbrojnych.

Później przez lata okupacji wykazało ono niezłomnego ducha oporu w walce czynnej w organizacji podziemnej P.O.W.N.

Dzisiaj, gdy dla krajów, w których znalazło gościnę, przyszedł dzień wyzwolenia, a Polska jest w najcięższej potrzebie, wychodźstwo raz jeszcze pośpieszy Jej z pomocą.

Ojczyzna wzywa swych najlepszych synów do ochotniczego wstępowania w szeregi Polskich Sił Zbrojnych.

Wiemy, że natychmiast odpowiecie na to wezwanie!

Zgłaszajcie się do Polskich Punktów Zaciągowych, gdzie otrzymacie instrukcje zaciągowe.

Niech żyje POLSKA!

Prezes Rady Ministrów R.P.
/—/ Stanisław Mikołajczyk
Minister Obrony Narodowej
/—/ Marian Kukiel, gen. dyw.

Nowości lotnicze

Precyzyjne bombardowania małych obiektów stały się już specjalnością R.A.F.'u. Operacje tego rodzaju są niezwykle trudne. N.p. bombardowanie archiwum kwatery głównej Gestapo w Hadze, narzucało wykonawcom konieczność niechybnego trafienia w jedną tylko kamieniczkę, otoczoną innymi. Ze względów zasadniczych nie wolno było ani chybić ani powtórzyć nalotu. Gdyby nalot się nie udał, archiwum Gestapo zostałoby przeniesione od razu do innego, bezpieczniejszego miejsca, gdzie może nawet bomby nie mogłyby go wcale dosięgnąć. Poza tym umiejscowienie kwatery wymagało bardzo dużo trudu i czasu.

Dlatego do takich zadań, jak wspomniane powyżej, lub tak dobrze znane z prasy bombardowanie więzienia we Francji dla uwolnienia uwięzionych, czy wreszcie bombardowanie budynków Gestapo na terenie uniwersytetu w Aarhus, niezbędne są bardzo dokładne przygotowania. Niezależnie od zapoznania załóg z zadaniem, z położeniem budynków /na podstawie fotografii, planów i makietek/, załogi muszą być bardzo pieczołowicie dobierane. Każdy musi być "asem" w swej specjalności, ludzie muszą być nieomylni i niezawodni. Nie wystarczy sama odwaga i gotowość podjęcia ryzyka, gdyż operacja wymaga właśnie, by ryzyka nie było. Niezbędna jest pewność, że zadanie zostanie wykonane bez reszty. Należy się pełny podziw tym doskonałym pilotom, nawigatorom i bombardierom, którzy tak wspaniale wykonali zadanie, graniczące z usystematyzowanym cudem.

Warto też nadmienić, że w ostatniej operacji na Aarhus użyte zostały polskie samoloty do osłony wyprawy.

"He 293" nie jest samolotem w pełnym tego słowa znaczeniu. To tylko rodzaj latającej bomby, skonstruowanej i produkowanej w *Henschel Flugzeugwerke A.G.*

Tę bombę, znaną zresztą dłużej od "V.1." nazywano dotychczas niesłusznie bombą szybowcową */glider bomb/*. Używana jest przeważnie przeciw żegludze morskiej. Jej korpus, stosunkowo wąski, długości przeszło 12 stóp, posiada normalne skrzydła i ogon, sterowanie podwójne oraz napęd rakietowy. Silnik umieszczony jest nie w górze, jak w "V.1.", lecz właśnie pod spodem korpusu. Ma solidną głowicę, w której mieści się automatyczny, kierowany drogą radiową pilot, oraz około 1,300 funtów materiału wybuchowego. Całość waży około 2000 funtów.

Bomba jest wyrzucana z pokładu samolotu. Do przewożenia używane są "He 177", "Do 217" lub "F.W. 200", a więc typy nowsze niż te, które są używane do wyrzucania bomb "V.1." Samolot, zbliżając się do celu, wyrzuca bombę, która zaczyna lecieć na własnym silniku z szybkością około 300 mil/godz. Kierowana przez radio na cel, musi cały czas pozostawać w zasięgu wzroku kierującego /w tym wypadku pilota samolotu, z którego została wyrzucona/. To stwarza bardzo niedogodne warunki dla samolotu-matki, gdyż nie może on natychmiast po wyrzuceniu, umknąć z zasięgu artylerii przeciwlotniczej nieprzyjaciela — przeciwnie, musi się raczej zbliżać niż oddalać od celu.

Bomba posiada specjalne urządzenie do znaczenia swej trasy. Niektóre z tych bomb, z małymi zmianami w konstrukcji, bywały użyte przeciw wielkim formacjom bombowym.

Ostatnio jednak Niemcy zarzucili ten rodzaj walki w powietrzu, jako mało skuteczny. Liczą raczej na walkę bezpośrednią swych rzeczywiście udanych myśliwców i rakietowych "Me. 163". Możemy tu dodać, że zestrzelenia nowych samolotów niemieckich zarówno termiczno-strumieniowych /"Me. 263"/, jak i rakietowych /"Me. 163"/, wcale nie należą już dzisiaj do rzadkości.

Te nowe samoloty niemieckie są bardzo szybkie, lecz właśnie dlatego mało zwrotne i ulegają wolniejszym, lecz znacznie bardziej zwrotnym samolotom alianckim. Także "He. 293", mimo iż — przyznać trzeba — broń ta jest dobra, nie dały jednak spodziewanych rezultatów. Przyczyn szukać należy w braku masowego, a raczej w niemożności masowego ich zastosowania przez Niemców, oraz bardzo dobrej obronie przeciwlotniczej okrętów i statków brytyjskich.

W dniu 1 listopada rozpoczęła się międzynarodowa konferencja lotnicza w Chicago. Poprzedziły ją dwie konferencje wstępne, ściśle lotnicze, a więc międzydominialna brytyjska konferencja lotnicza i panamerykańska konferencja lotnicza. Oprócz tego rozmowy w Dumbarton Oaks więcej zajmowały się sprawami lotniczymi, niż jakimikolwiek innymi. Rzecz w tym, że każdy problem lotniczy, poruszony w skali międzynarodowej, dotyka od razu dwóch bolesnych problemów: międzynarodowego bezpieczeństwa, oraz . . . *freedom of the air*, a więc wolności powietrza.

Konferencję poprzedziły jeszcze trzy bomby, bo inaczej tego nazwać nie można. Pierwszą bombą była wiadomość z Ameryki, że Rosja, Chiny oraz Stany Zjednoczone A.Płn. pójdą na konferencji chicagowskiej przeciw Wielkiej Brytanii i to właśnie w sprawach wolności powietrza /Wielka Brytania wypowiedziała się za wolnością choć w sensie ograniczonym/. Wywołało to zdumienie i zaskoczenie w londyńskich kołach lotniczych.

Z kolei zdumienie i zaskoczenie przyszło na Amerykę, gdy Rosja ogłosiła światu, że nie weźmie ona udziału w konferencji z powodu zaproszenia "państw faszystowskich": Hiszpanii, Portugalii i Szwajcarii.

Trzecią bombą było oświadczenie Roosevelta, ubrane w formę ostrzeżenia pod adresem konferencji. Ostrzeżenie było skierowane wyraźnie przeciwko tym, którzy pragną w dalszym ciągu zamykać swe terytoria przed lotniczym ruchem międzynarodowym. Ogłoszenie oświadczenia nastąpiło po wycofaniu się Rosji i może być tłumaczone politycznie. Poza tym poprawia szanse przyjęcia przez konferencję zasady wolności powietrza po myśli brytyjskiej.

Strzała rosyjska trafiła prosto w amerykańsko-lotniczo-businessowe serca. Dlaczego? Linie amerykańskie planowały swój rozwój i poniekąd już rozdzieliły linie światowego serwisu lotniczego na po wojnie. Te linie, według ich planów oparły się mocno o sieć rosyjską. "Pan-American Airlines" chciałyby latać wszędzie, naokoło świata, na zachód i wschód, na północ i na południe, więc objąć szlaki kontynentalne rosyjskie. Druga firma "American Airlines" chciałyby latać z Chicago i New Yorku do Paryża i Londynu, co jeszcze nie dotykało terytorium rosyjskiego w tej mierze, lecz już "North-East Air Lines" miały wielką ochotę latać do Moskwy "tędy i tamtędy", przez wschód i zachód. Inne towarzystwa powietrzne w mniejszej lub większej mierze chciały znowu lądować na terytorium rosyjskim czy to w przelotach na wschód, na południe, czy też nawet na północ.

Wielka linia, biegnąca z Ameryki na Pacyfik i dalej po Australii i Indii przecina Kanadę, Alaskę, wreszcie Rosję — po drodze do Chin i Japonii. Taka droga byłaby znacznie krótsza, dogodniejsza i tańsza, niż owa przedwojenna: Hawaje — Midway — Wake — Guam — Manila. Wszyscy bez wyjątku woleliby latać północą po Wielkim Kole, niż tracić benzynę, czas i pieniądze na wielkie *non-stop* /bez zatrzymywania się/ loty przez puste połacie Pacyfiku: na tej dłuższej drodze zarówno przewóz towarów mniej się opłaca jak i ruch pasażerski nie daje dochodu, zaś inwestycje muszą być olbrzymie.

Rosja nie przystąpiła do konferencji międzynarodowej i wszystkie te nadzieje prysły. Trzeba więc sprawy urządzać inaczej.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

30 października: Wojska niemieckie kontratakują w Prusach Wschodnich.

31 października: Lotnictwo brytyjskie w nocy 30/31 bombardowało silnie Kolonię.

—Lotnictwo brytyjskie wykonało za dnia udany nalot na siedzibę Gestapo w Aarhus w Holandii. Wyprawa ta osłaniana była przez polski dywizjon myśliwski.

—Wojska brytyjskie dotarły do dolnego biegu rzeki Mozy /Maas/ w Holandii.

—Niemcy podali, że wojska sowieckie atakują na płn. i płd. od Pułtuska.

—Ogłoszono, że w nocy z 27/28 ubiegłego miesiąca w Oflagu VI zginęło w nieznanych okolicznościach wielu oficerów polskich.

1 listopada: Oddziały Dywizji Pancernej walczą w rejonie dolnego biegu rzeki Mark w Holandii.

—Wojska brytyjskie i kanadyjskie lądowały na wyspie Walcheren u ujścia Skaldy.

—W nocy z 31.X./1.XI. lotnictwo brytyjskie silnie bombardowało Kolonię.

—Ogłoszono, że marszałek lotnictwa Sir Arthur Coningham został naczelnym dowódcą 2. Lotnictwa Taktycznego, w którego skład wchodzą polskie dywizjony.

2 listopada: Lotnictwo amerykańskie silnie bombardowało za dnia ośrodki przemysłowe koło Lipska i w Nadrenii. W czasie wielkiej bitwy powietrznej, którą wywiązała się nad Niemcami strącono 208 samolotów niemieckich.

—Sprzymierzeni zajęli port Flussing u ujścia Skaldy.

3 listopada: Ogłoszono, że cała Belgia została oswobodzona od Niemców.

—W nocy z 2/3 lotnictwo brytyjskie bombardowało bardzo silnie Duesseldorf.

—Ogłoszono, że dowódcą brytyjskiej VIII Armii, w której skład wchodzi polski II. Korpus, został gen. Sir Richard McCreery. Dotychczasowy dowódca gen. Sir Oliver Leese został dowódcą 11 Grupy Armii w płd.-wsch. Azji.

4 listopada: Polska Dywizja Pancerna zajęła m. Terheiden, na zach. od Osterhout w Holandii.

—Ogłoszono, że cała Grecja została uwolniona od Niemców.

—Wojska sowieckie walczą na przedmieściach Budapesztu.

—Lotnictwo brytyjskie i amerykańskie bombardowało silnie za dnia Solingen, Monachium, Linz i in.

5 listopada: W nocy z 4/5 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Bochum.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia silnie ośrodki przemysłu w Nadrenii.

—Lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie za dnia Solingen.

—Lotnictwo amerykańskie za dnia bombardowało po raz pierwszy Singapore.

Na okupowanej ziemi Niemiec

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

W kanadyjskiej kwaterze prasowej, październik 1944

Tereny "operacyjne" korespondentów wojennych są ściśle podzielone pomiędzy kwatery prasowe poszczególnych armii. Dziennikarz przydzielony do tej lub innej armii może nadać korespondencję jedynie w jej zasięgu. Wypad na inny odcinek działań wymaga szeregu formalności, a ponieważ okupowane dotąd tereny Rzeszy należą do "sfery wpływów" armii amerykańskiej, zwróciłem się z prośbą o specjalne pozwolenie wjechania do Niemiec i obejrzenia Aix-la-Chapelle. Uzbrojony w przepustkę i list wprowadzający, w którym kanadyjska kwatera prasowa prosi kwaterę prasową amerykańską o zaopiekowanie się mną na przeciąg 48 i tylko 48 godzin, obiecując, że lojalnie zastosuję się do wszystkich przepisów i instrukcji — wyruszyłem wraz z towarzyszącym mi oficerem na pełną emocji dla każdego Polaka wyprawę do podbitych Niemiec.

Po parogodzinnej jeździe *jeepem* przybyliśmy pod wieczór do Amerykanów tak potwornie zmarznięci /mimo trzech *pullowerów*, skórzanego kubraczka, płaszcza, dwóch szali i dwóch par rękawic/, że dalszą jazdę ku granicy niemieckiej trzeba było odłożyć do następnego ranka. *Corned beef* z rodzynkami na kolację, jak również racuszki w słodkim miodowym syropie z szynką na śniadanie nie mogły nas ucieszyć, natomiast amerykańscy koledzy przyjęli nas niezwykle serdecznie. W barze, całkowicie okupowanym przez korespondentów wojennych rozeszła się wieść, że jesteśmy pierwszymi Polakami, którym dane jest wjechać triumfalnie w granice Rzeszy po 5 latach wojny — to też trzeba przyznać, że rozgrzaliśmy się dość szybko i skutecznie.

Następnego ranka wyruszamy w dalszą drogę. Cudownymi drogami górskimi, poprzez całe niemal Ardeny, przez Spa, Remouchamps i Verviers dojeżdżamy do wsi Delhain, przez którą przebiegała w ciągu ostatnich 4 lat granica ustalona przez Niemców. Obszary leżące na wschód, okręgi Eupen, Malmedy i St. Vith zostały bezprawnie wcielone do Rzeszy. Przy sposobności Niemcy zagarnęli jeszcze kilka gmin, które nawet przed rokiem 1914 nigdy do nich nie należały.

Dziś już nie ma śladu tej sztucznej granicy i wśród domów udekorowanych flagami belgijskimi wjeżdżamy do Eupen. Czyste, schludne miasteczko ma zresztą wygląd typowo niemiecki. Wszystkie napisy, szyldy, nazwiska są niemieckie. Wojna ominęła Eupen, miasteczko nie ucierpiało wcale, tylko oddalony nieco dworzec kolejowy jest rozbity i kilka domów na przedmieściu leży w gruzach. Niemcy postawili w wąskiej uliczce czołg, naładowali go dynamitem i wysadzili w powietrze. Zapora ta, jak również i inne przeszkody przeciwczołgowe rozpoczynającej się tuż za miastem we wsi Koepfchen linii Zygfryda nie na wiele im się zdały. Amerykanie szli od Verviers, nie napotykając nigdzie na większy opór. Ten, który ich prowadził, je z nami obiad w restauracji hoteliku *"Gasthaus am Treppchen"*.

Pierre, oficer rezerwy został zmobilizowany w roku 1940, a po klęsce wrócił do domu, do żony i dziecka. Lecz wtedy właśnie Niemcy włączyli Eupen do Rzeszy i rozpoczęli mobilizację.

—Jedni szli do wojska przymusowo, inni dobrowolnie. Niestety byli i tacy—opowiada nam Pierre. — Ja wybrałem trzecie wyjście. W nocy wraz z żoną i małym synkiem uciekłem i w lesie przekroczyłem granicę. Przez długi czas musiałem się ukrywać, co mi trochę komplikowało życie ze względu na powierzoną mi "robotę".

Dziś Pierre przeżywa dni swego triumfu. Znając doskonale okolice, on kierował postępami amerykańskimi, on wjechał do rodzinnego Eupen na pierwszym czołgu.

Do rozmowy naszej miesza się usługująca nam kelnerka. Jest z Nowosybirska. Do niewoli wzięli ją w Charkowie. Pracuje tu już dwa lata i teraz dręczy ją jedna wątpliwość. Oto nie może żadną miarą zrozumieć, jak to jest, że my mówimy po francusku. Tłumaczenie, że w Polsce uczono języka francuskiego w szkołach przyjmuje z pełną niewiarą. To zupełnie niemożliwe — twierdzi. — Ona też chodziła do szkoły w Nowosybirsku i dlatego dobrze wie, że w szkołach francuskiego nie uczą, a jedynie rosyjskiego. W Polsce przecież nie mogło być inaczej.

A potem dołącza się do nas jeszcze inny rozmówca. Tym razem jest to Litwin, który uciekł właśnie z Prus Wschodnich. Chciał jechać do Wiednia, ale na dworcu w Berlinie zmienił zdanie i postanowił jechać do Brukseli. Dojechał tylko do Eupen i tu spotkał wojska amerykańskie.

—Wszystko polityka, panie dzieju, polityka była — zaciąga z litewska — nasz naród tak wcale nie czuł, a teraz widzimy, co z tego wynikło. Prawdziwa katastrofa. Ot i co!

Do Niemiec jedziemy, naładowani różnorodnymi wrażeniami. Młoda Rosjanka, która w zachwycie opowiada, jak kulturalni byli ci Germańcy. I ten Litwin, który swobodnie jeździł po całych Niemczech, raz do Wiednia, raz do Brukseli. I Pierre, który z błyskiem w oczach opowiada o okrucieństwach Gestapo, których był świadkiem:

—Żadnej litości dla Niemców. Wszelka słabość byłaby grzechem przeciw ludzkości, grzechem wobec naszych własnych dzieci!

"Entering Germany" — głosi napis na wielkiej tablicy przydrożnej. Niezapomniana chwila! Błotnistymi drogami poprzez Koepfchen, Eich, Aynatten dojeżdżamy do granicy. Wieś nazywa się Hauset. Mały mostek i jesteśmy w Niemczech. Po 5 latach na zdobytym, okupowanym terytorium Niemiec. Znów mijamy tablicę, podającą odległość do Nowego Yorku — *via* Berlin — i po chwili dojeżdżamy do Aix-la-Chapelle.

Po 5 latach wojny Niemcy, winne rozpętania najstraszniejszej zawieruchy, jaka kiedykolwiek spadła na Europę, stały się same terenem bitew. Po raz pierwszy od czasów Napoleona wojna wstąpiła na terytorium Niemiec. Teraz widzimy jej pierwsze rezultaty. Aix-la-Chapelle leży w gruzach. Miasto było poddane potwornemu bombardowaniu, które trwało dzień i noc przez cały tydzień. Nie ostało się nic. Bomby amerykańskie zmiotły całe dzielnice. W innych sterczą jeszcze mury, za którymi nic się już nie kryje.

W Caen, najbardziej zbombardowanym mieście, jakie dotąd widziałem, wyglądało to inaczej. Tam nie było ulic, nie było domów, były tylko kupy gruzu, tworzące olbrzymie, paropiętrowe czasem zwaliska. Tu miasto zachowało swe dawne kształty. Tam nie było już nic. Tu jest miasto śmierci. Podobnie wyglądało zresztą Lisieux z kikutami spalonych domów. Miasto śmierci, miasto grozy. Wymarłe, opustoszałe, groźne w swej ponurej ciszy.

Aix-la-Chapelle było miastem nowoczesnym z szerokimi alejami, wielkimi hotelami i pretensjonalnymi willami. Wielka przeszłość zachowała się w starej dzielnicy wokół tysiącletniej katedry w stylu bizantyńskim i ratusza z 14-go wieku. Dziś . . .

Dziś ratusz stracił swe wieże, a katedra choć zniszczona stoi jeszcze, pozbawiona wszystkich witraży. Wokół niej nie ma już nic. Rumowisko domów, przez które trudno przejechać. Wszędzie ślady walki. Przez dwanaście dni Niemcy bronili się wewnątrz domów, na rogach ulic — wreszcie skapitulowali. Skapitulowali, grzebiąc w gruzach wielkie miasto.

Czy to jest przykład tego, co jutro czeka inne miasta niemieckie? Czy to jest obraz przyszłych operacji, jakie toczyć się będą w Niemczech? Czy Sojusznicy będą musieli w podobny sposób zdobywać każde miasto, każdą ulicę, każdy dom? Czy Rzesza niemiecka zamieni się w prawdziwą pustynię, zanim się ostatecznie i bezwarunkowo podda?

To są pytania, które się nasuwają, gdy się jedzie powoli wśród ruin Aix-la-Chapelle.

Jesteśmy na Wilhelmstrasse. Chcemy obejrzeć siedzibę partii.

—Którędy trzeba jechać do centrum miasta? —pytamy żandarma amerykańskiego, który stoi na skrzyżowaniu ulic, jakby miał obowiązek regulowania nieistniejącego ruchu.

—Dokąd? — pyta wyraźnie ubawiony. — Do centrum miasta? Po pierwsze nie ma miasta, a po drugie nie ma centrum. Tylko to, co tu widzicie. *Nice piece of work* —dodaje jeszcze z zadowoleniem.

W byłym centrum byłego miasta odnajdujemy jednak Stephanstrasse. Na rogu ulicy rzuca się już w oczy wielki szyld ze strzałą. *"N.S.D.A.P. Hauptquartiers — links"*. Ale na lewo nie ma już nic do obejrzenia. Kwatera główna partii narodowo-socjalistycznej przestała istnieć. Wśród rumowisk odnaleźć jeszcze można trochę papierów, szczątki połamanych mebli, na ulicy leży zakurzona czapka S.S.-Mana.

Równie smutny los spotkał siedzibę dowództwa armii niemieckiej. Przed domem z wielką tablicą *"Oberkommando des Heeres"* stoi na warcie żołnierz Murzyn i żuje z flegmą gumę. Gdyby obrazek ten mogli zobaczyć wielcy wodzowie *"Herrenvolku"*, zrozumieliby może, jak zmienne są losy ludzkie.

Ci, co przeżyli bombardowanie i nie wyewakuowali się do Niemiec, przebywają w obozie amerykańskim w Brandt. Obywatele krajów sojuszniczych a wśród nich liczni Polacy, zostali już oddzieleni i umieszczeni czasowo w innym obozie pod Verviers. Niemcy poddawani są skrupulatnym badaniom, po których osadza się w więzieniach członków partii, urzędników Gestapo, *sniperów*, którzy strzelali z ukrycia do wkraczających Amerykanów i wielu innych podejrzanych o różne przestępstwa wojenne.

Pierwszy raz stykam się z Niemcami. Jest ich w obozie w Brandt około 3.000. Są młodzi mężczyźni, rzekomo wyreklamowani z wojska do przemysłu. Jest wiele kobiet. Ubrane są na ogół dostatnio. Młode dziewczęta chodzą w spodniach, inne noszą futra. Mają jedwabne pończochy, i obuwie w bardzo złym gatunku, ale "zrobione" są wszystkie na "bóstwa". Pudru, tuszu i szminki nie brakło w Niemczech.

Idziemy wśród szpalerów ukłonów. Kłaniają się wszyscy. Niektórzy witają nas po angielsku, mężczyźni zdejmują kapelusze, gdy tylko się do nich zbliżamy. Wszyscy mówią bardzo chętnie i dużo. Przede wszystkim o swoich nieszczęściach, o ostatnich trzech tygodniach, spędzonych w piwnicach Aix-la-Chapelle. Straszna wojna — powtarzają niezmiennie. — Straszna i niepotrzebna. Wszystkim zadaję to samo pytanie. Dlaczego nie uciekali? Odpowiedź jest zawsze taka sama: — Nie chcieli. Narażali się na kary i prześladowania, aby tylko uniknąć przymusowej ewakuacji. Mieli już dosyć prusactwa, oni, Nadreńczycy, zdradzający zawsze przecież dążności separatystyczne. Podkreślają to wszyscy. Przecież chyba muszę o tym dobrze wiedzieć? — upewniają się co chwila.

Ale i w więzieniu obozowym nie znajduję okazów takich Niemców, jakimi są przecież wszyscy. Tych Niemców, z którymi walczymy. Niemców Hitlera, brutalnych, fanatyków, szowinistów, antysemitów, światoburców. Tych Niemców, którzy szli podbijać świat lub którzy tym "podbijaczom" z całego serca sprzyjali. Tym, którzy stworzyli Dachau, Oświęcim, Tremblinkę lub tych, którzy o kaźniach wiedzieli i milczeli zawzięcie. Tych, którzy pędzili polskie kobiety i dzieci przed czołgami. Tych, którzy zniszczyli Warszawę a narodzili Pruszków. Takich Niemców dziś nie spotkałem.

W celi siedzi chłop z żoną i 10-letnim synkiem. Prasa londyńska zamieściła już fotografię małego Paula Heinrichsa, który z ukrycia strzelał do żołnierzy amerykańskich. Ojciec i matka na wyścigi opowiadają mi o "strasznym nieporozumieniu". Paul znalazł karabin i bawił się nim tylko. Tak, z głupoty, jak to dziecko. I wtedy karabin nagle wystrzelił. Paul patrzy na mnie spod oka i powtarza bez przerwy: *"Ich habe nur gespielt"*. Potworna, nieludzka historia zwyrodniałego społeczeństwa!

Chodzę od celi do celi. Rozmawiam z wieloma więźniami. Wszyscy podrywają się natychmiast i stają na baczność. Nikt nie wie, nie zdaje sobie nawet sprawy, o co jest oskarżony. Proszą mnie o interwencję, a jakiś młody urzędnik partii zapytał mnie nawet, czy są szanse szybkiego otrzymania jakiegoś zajęcia. Ich uniżona grzeczność wzbudza wstręt. Kobieta, która mnie niechcący potrąciła w przejściu, zatrzymuje się i trzykrotnie przeprasza. Nie zauważyła. Naprawdę nie zauważyła.

Długo chyba jeszcze nie zapomnę tych pierwszych zetknięć z pobitym wrogiem. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie na Niemcach wywoływała świadomość, że rozmawiają z Polakami. Jakież wspaniałe uczucie triumfu i zemsty! Widzieć ich nieukrywane zresztą przerażenie. — *Polen, Polen sind da*! Tak jest. Nadchodzą. Długo i dokładnie tłumaczyłem, że polskie wojska pancerne idą wraz z armiami sojuszniczymi. Reakcje więźniów napawały mnie niewypowiedzianą radością.

Z grupy otaczających mnie na podwórzu Niemców wysuwa się człowiek w średnim wieku. Nosi krótkie tyrolskie spodnie i kapelusz z piórkiem. Jak się okazuje, jest nauczycielem gimnastyki w szkole w Aix-la-Chapelle. Kłania się w pas, szurgając przy tym nogami i zdejmując kapelusz z głowy.

—Miejmy nadzieję, ekscelencjo — zwraca się z przymilnym uśmiechem — miejmy nadzieję, że Polacy nie będą w Niemczech bardzo okrutni . . .

Zatrzęsła mną straszna złość. Cóż to za obłuda, pokorny fałsz, strach w tym kajaniu się. Cóż za tchórzostwo!

—Nie będą na pewno okrutni — odpowiedziałem. — Będą jedynie tak samo postępować z wami, jak wyście postępowali w Polsce.

Dalszych pytań nie było.

MACIEJ FELDHUZEN

KOBIETOM WARSZAWY, KTÓRE NIEMCY PĘDZILI PRZED CZOŁGAMI

Wywlekli z domu, dom spalili, splugawili nawet kamienie,
Ubiczowali słowem, rozkazem, twardym żartem,
przed czołgiem ustawili szeregiem.
Ruszać — Droga otwarta.

W posępnej poszły, w huczącej, w zgrzytliwej poszły procesji,
ale nie biły, nie biły im dzwony warszawskich kościołów . . .

/u mego Pana są hufce potężnych i dobrych aniołów,
ale nie mogą pomóc, nie mogą pomóc . . ./

ale nie biły, nie biły im dzwony warszawskich kościołów
i nikt w posępnej procesji pod nogi nie rzucał im kwiatów
i pieśni nie było także, nawet pieśni najżałobniejszej,
tylko potężne, mosiężne, świszczące wybuchy granatów.

Szły skamieniałe i tępe jak te za niemi maszyny,
bo świadomość była za straszna i za bolesny był ból.
Jedna upadła twarzą na wyrwane z kamienia szyny . . .
Upadła, krzyknęła. Ucichła i przeszedł po niej czołg.

Cóż mogłaś wtedy myśleć Polko, Kobieto, Warszawianko,
Matko, Żono, Córko, Siostro — Tarczo niemieckiego tanka?

Że barykada bardzo blisko,
za barykadą mąż, czy syn,
że w oczach ciemno,
u nóg ślisko,
że jednak chwila wielkiej męki
odkupi całe morze win,
że kupi wolność bardzo krwawą,
zapieczętuje znakiem krzyża,
Dla Ciebie Warszawo . . .
że barykada coraz bliżej . . .

A NAM STRZELAĆ KAZANO . . .

Że już pięć lat i sił jest bardzo mało
i tylko trochę wody i niedużo chleba,
tylko nadziei dużo pozostało,
a z tą nadzieją skrawek nieba,
bo już pięć lat i wolność niedaleko,
mówią, że tuż, że za rzeką,
i że już pomoc obiecana,
hufce aniołów są u mego Pana . . .

Więc zaraz przyślij aniołów.
Niech zstąpią na ulice,
uzbroją żołnierzy,
bo każdy z nich wytrwale walczył,
bo każdy z nich wytrwale wierzył
w ciebie i w twoją pomoc . . .

Ale one zginęły . . .
a od krwi ich każdy kamień krwawy.
Jeśli możesz pomóc, a nie chcesz,
lub może — jeżeli się spóźnisz
niech krew ich na was spadnie — najświadomiej bluźnię,
i niechaj spadnie na was przekleństwo Warszawy.

MARIA ILIŃSKA

A—jak ciocia Andzia

II.*

Na wysokości dziewiętnastu tysięcy stóp, zapewne nad Sambrą, gdzieś pomiędzy Charleroi a Namur weszliśmy w chmury. Od razu wiedziałem, że nie zdołamy wznieść się ponad ich warstwę, która rosła jakby ją kto wydymał od spodu. Była to zdaje się kulminacja owego "frontu" przepowiedzianego przez meteorologów; ciężkie, spiętrzone wysoko chmurzyska płynęły, toczyły się, przewalały się i puchły powyżej wszelkiego osiągalnego dla nas pułapu. Oziębiło się nagle i zaczęły się zwykłe zjawiska elektryczne, towarzyszące wielkim burzom: busola dostała konwulsji, radiokompas wychylał się na prawo i na lewo, w słuchawkach trzeszczało jakby kto lał oliwę na rozpalone żelazo, i tylko żyro prowadziło mnie na kursie do bazy. Na obwodzie śmigieł migotały zielone iskierki; małe ogniki zaczęły biegać po krawędziach skrzydeł; anteny świeciły błękitno, to znów biało, gasnąc i zapalając się znowu.

Pierwsze gwałtowne podmuchy uderzyły po sterach. *"Lucy"* zadrgała, przysiadła i skoczyła w górę. Silniki wypadły z rytmu, zawyły, jakby przerażone, i zmieniły ton. Zrobiło się zupełnie czarno.

Byłem przygotowany na walkę z tą burzą i nie chciałem oddać sterów Lejbie, który zresztą bynajmniej się do tego nie palił. Lecz to, co po chwili zaczęło dziać się z maszyną, przeszło moje oczekiwania.

Stery nagle zesztywniały tak, że ledwie mogłem poruszać drążkiem; lotki zaparły się w przechyle, a silniki znów zaczęły wyć, i to tak przeraźliwie, jakby miały wyłamać się z łożysk. Czułem w ramionach straszliwą wibrację sterów, która natychmiast zresztą udzieliła się skrzydłom i gondoli. Cały samolot trząsł się w jakimś potwornym paroksyźmie. Można było pomyśleć, że puszczają wiązania kadłuba, pękają nity i sworznie, i że lada chwila maszyna rozleci się w powietrzu.

Spojrzałem na wysokościomierz. Strzałka mijała 17.000 i szła w dół. Wariometr wskazywał gwałtowne opadanie, a choć dodałem gazu i siłą podciągnąłem ster — samolot walił się bezwładnie, jakby miał wejść w korkociąg. Był jak porażony; tracił wszystkie właściwości aerodynamiczne; tracił zdolność lotu i zdawał się rozpaczliwym wysiłkiem utrzymywać jeszcze tylko równowagę poprzeczną. Ryczał silnikami, wył w śmiertelnym przerażeniu, walił się w dół, ulegając paraliżowi, który chwytał go w lodowate szpony i obezwładniał stery i skrzydła.

Było coś okropnego w tym zmaganiu się maszyny z niemocą, która ogarnęła ją nagle wśród kotłowiska chmur, ponad jądrem burzy miotającej się w czarnej przestrzeni. Można było wyczuć jej rozpacz i ogarniające ją szaleństwo: ginęła! Przestawała być samolotem. Jej skrzydła i stery, krawędzie ich natarcia, łopaty śmigieł — obrastały lodem, który nawarstwiał się gwałtownie, zmieniając ich profil, odbierając im właściwą postać, czyniąc je niezdolnymi do lotu. Przestudzona para skraplała się i marzła na kadłubie, na maskach silników, na zbiornikach i gaźnikach. Mróz chwytał już dysze i osiadał szronem na gardłach przewodów paliwa. Silniki krztusiły się w jego uścisku, przerywały, wyły znowu w męce i dusiły się bez dopływu mieszanki. Rury wydechowe pluły dymem, to znów ogniem, jak krwią. Przedśmiertne dreszcze szły po grzbiecie kadłuba, drgały wieżyczki, trząsł się febrycznie pokład, nierówno, śpiesznie pulsowały zegary . . . L — jak Lucy konała w powietrzu na wysokości piętnastu tysięcy stóp, opadając wprost w środek burzy, toczącej się przez Belgię . . .

Nie mogłem jej pomóc. Nie mogłem nic uczynić, by ją uratować. Powiedziałem tylko nieswoim głosem:

—Załoga, przygotować się do opuszczenia maszyny. Oblodzenie . . .

Nikt mi nie odpowiedział, ale po tych moich słowach, jakby po jakimś zaklęciu — wariometr zwolnił! Opadaliśmy nadal, ale nie tak gwałtownie. Potem lewy silnik przestał strzelać i włożył się w prawidłowy, czysty rytm. Za nim wyrównał prawy. Sterom ulżyło i zwolna ustało drganie kadłuba. Wreszcie uspokoiły się lotki.

Kryzys mijał: maszyna była jeszcze ciężka, ospale reagowała na ruchy drążka, ale przecież mogłem utrzymać ją w linii lotu. Wyszliśmy ze strefy obmarzania i tylko wicher cwałujący na grzywie burzy porywał nas w skręty i wiry.

W gondoli panowało nadal milczenie. Przerwał je dopiero Pryszczyk, głosem nieco jeszcze rozdygotanym, w którym można było wyłowić poprzez świergot słuchawek melodyjne podzwanianie zębami:

—Znakiem tego — nie wysiadamy w ty Belgii, panie kapitanie?

Powiedziałem, że na razie nie, a Pryszczyk westchnął z ulgą.

Zygmunt powiedział: — Cholera! — i coś tam ustalał z Kozą, któremu odbiornik trzeszczał, jak smolna głownia na kominie. Po chwili doszli widocznie do porozumienia, bo Zygmunt oświadczył:

—Żadnego, psiakrew, namiaru w tym bałaganie zrobić nie można. Niech to wszyscy diabli wezmą! Łapiwiatry miały rację . . .

—A gdzie jesteśmy? — pyta Lejba.

—Na kursie — mówi Zygmunt.

—Ale g d z i e na kursie?

Takie pytanie może zniecierpliwić nawet anioła. Zygmunt zaś nie jest bynajmniej w anielskim nastroju. Mimo to, jakoś się hamuje.

—Odczep się, kufo jedna — mówi. — Sam bym chciał wiedzieć . . .

—No to poco ty z nami latasz, jak nie wiesz?

—Dla równowagi, młodzieńcze: skoro tu jest taki tuman jak ty — musi też być ktoś z olejem w głowie.

Ale Lejba nie pozostaje dłużny, gdy chodzi o wzajemne komplementy:

—Zjełczał ci ten olej — powiada. — Nawet na mydło się nie nadaje . . .

W tej chwili wychodzimy z chmur w jakąś lukę. Przejaśnia się nieco, ale przed nami rośnie nowa ściana, chyba jeszcze wyższa niż poprzednia. Zygzaki błyskawic łamią się w niej raz po raz, zawiewa potężnym wichrem i podrywa nas w górę, aby natychmiast rzucić pod nurt, w przepaść, gdzie wybucha nowy podmuch.

Jeżeli w tych chmurach na tej wysokości temperatura powietrza zawiera się między 0° a 20° Celsjusza — grozi nam znów oblodzenie. Gdy, dopiero co, przez to się przeszło — "serca bledną" na myśl o powtórnym podobnym przejściu.

Zbieram się w sobie. Staram się "odważnie stawić czoło niebezpieczeństwu", jak przystało na "skrzydlatego rycerza", psiakrew, ale nie potrafię opanować myśli o katastrofie, ku której — jak mi się wydaje — zdążamy nieuchronnie. Widok oświetlonego lotniska ze znakami rozpoznawczymi naszej stacji — FH, wydaje mi się czymś najbardziej pożądanym i zarazem najmniej osiągalnym. Czy zobaczę jeszcze kiedykolwiek tę stację? . . .

No, ale skoro już o podniesieniu ducha nie ma mowy, to przynajmniej instynkt i — mięśnie. Wołam Lejbę:

—Chodź tu i pomagaj w pilotowaniu, bo was wszystkich diabli wezmą i narzeczone spuchną od płaczu.

Lejba siada obok mnie. Widać, że jest zdenerwowany. Zdradza to zresztą tylko bladość jego rumianych zwykle policzków i jeszcze powolniej, niż zwykle cedzone słowa.

Wiem, że Lejba się boi. Wiem również, że boi się Zygmunt, bo nie ryzykuje i nie mówi według swego zwyczaju: "wyjdziemy za tyle i tyle minut na takie i takie miasto" . . .

Koza boi się także, bo z kabiny radia nie dochodzi żaden głos. Siedzi tam pewnie wpatrzony w ciemność, mając spadochron pod ręką i — czeka: prędzej, czy później padnie rozkaz: "załoga skakać!" . . .

Pryszczyk milczy. Zapewne boi się najmniej z nas wszystkich, choć przeżywa instynktowną obawę, czy może tylko emocję, która przeszkadza mu w zwykłym monologu na byle jaki temat. Pryszczyk jest głęboko, choć bezpodstawnie przekonany, że skoro ja i Zygmunt jesteśmy na pokładzie L — jak Lucy, to nic złego stać mu się nie może. Pryszczyk ufa nam bezgranicznie.

Gdy sobie uświadamiam strach tamtych trzech i zaufanie tego czwartego — odczuwam coś w rodzaju otuchy. Obawiam się zawsze najbardziej tego, że nie zdołam ukryć swego strachu przed innymi. Że będą wiedzieli, co się we mnie dzieje. Albo — że się na mnie zawiodą. Ale skoro inni boją się także — mogą tego nie zauważyć. A Pryszczyk? . . .

—Jak tam, Pryszczyk? — pytam podziwiając pewność i spokój swego głosu. — Bardzo rzuca?

—Już nas, panie kapitanie, rzucało lepiej — mówi Pryszczyk — a wszystko jedno rumu każden jeden golnął potem, aż go wstrząsło. No to niech rzuca. Wiater też swoje przyjemność musi posiadać. Tylko ten magnetys cholernie tu pstryka. Iskry takie z palców mnie lecą, że jakbym żarówkie trzymał, to by się świeciła.

Istotnie iskrzyło znów zewsząd, a śmigła obracały się w ognistych aureolach, stykających się niemal z kadłubem.

—Uwaga — westchnął Lejba. — Wchodzimy w chmury.

Błyskawica wyszczerzyła się na nas zza barykady wrzących obłoków i — jak po karkołomnych schodach — runęła w dół. Potem połknęła nas ciemność i zaczął się taniec. Wiatr "posiadał swoje przyjemność" i robił wszystko, żebyśmy stracili nie tylko ochotę na tradycyjną szklaneczkę rumu po problematycznym powrocie do bazy, ale również skrzydła — w drodze.

Ale nie obmarzaliśmy! Zapasy z burzą wydawały się igraszką w porównaniu z tym lodowym paraliżem sterów. Maszyna reagowała normalnie i po każdym ciosie burzy wracała do poziomu, wygrzebując się z odmętu wirów i skłóconych prądów wichury. Mijały minuty, a wariometr podrygiwał tylko w górę i w dół, w górę i w dół, zgodnie ze strzałką wysokościomierza, oscylującą przy kresce z liczbą 15.000. Zwolna zaczynałem oswajać się z radosną myślą, że przebijemy się przez burzę i zobaczymy u końca lotu znaki rozpoznawcze — FH. Aż nagle . . .

To nastąpiło tak gwałtownie, że trudno było uwierzyć w prawdziwą przyczynę tych objawów. Bez żadnego przejścia, po jakimś przechyle, zaciążyły mi stery, i w tej samej chwili maszyna dała nura w dół. Znów zawyły silniki, zatrzęsło skrzydłami i kadłubem, tylko tym razem te wstrząsy były tak silne, że mogło się zdawać iż skrzydła zostały połamane i trzymają się jeszcze na sworzniach, targając nami, by się od nas uwolnić. Samolot rzucał się, jak szczupak w sieci, która ciągnęła go przez odmęt burzy w dół, ku ziemi. W słuchawkach podniósł się taki wrzask i świst, że nie dosłyszałem własnych słów, wydając rozkaz ponownego przygotowania się do skoku.

Lejba coś krzyczał, czego nie mogłem zrozumieć, a wreszcie, chwytając się podłużnic i poprzecznych rur wzmacniających gondolę, poszedł na przód, zapewne po swój spadochron, który tam zostawił. Zygmunta rzuciło na pokład obok mnie. Nie mógł się podnieść i dopiero Koza go stamtąd wyciągnął.

Każda mijająca sekunda wprawiała mnie w zdumienie: gondola — zamiast rozlecieć się na strzępy — ciągle jeszcze wytrzymywała potworne rzuty, skręty i ciosy. Każda następna sekunda wydawała się cudem: nie urwało nam ogona, nie wyłamało burt i nie wymiotło nas precz w tę otchłań, która powinna była otworzyć się dokoła . . .

Źle było z nami. Nie wiem, czy zdołalibyśmy w ogóle wyskoczyć, gdybym wydał ten rozkaz, na który wszyscy czekali w najwyższym napięciu. Nie wiem, dlaczego nie powiedziałem tego słowa: "Skakać!"

Straciliśmy chyba z pięć tysięcy stóp, zanim ten kataklizm zaczął się uspakajać. Na ośmiu tysiącach wyrównałem ostatecznie w linii lotu i uświadomiłem sobie, że oba silniki pracują normalnie, a maszyna słucha sterów. Zauważyłem też, iż żyro-kompas działa. Wrzask w słuchawkach *"interkomu"*[1] przycichł na tyle, że zaryzykowałem uwagę:

—Chciałbym wiedzieć, jakim kursem teraz naprawdę lecimy . . .

Nikt mi nie odpowiedział i przeszła mi przez głowę niedorzeczna myśl, że nikogo prócz mnie nie ma w gondoli.

—Zygmunt! — zawołałem głośno.

Cisza . . . Wychyliłem się w prawo i spojrzałem za siebie. Zygmunt siedział przy zrujnowanym stoliku nawigacyjnym, starając się utrzymać w objęciach mapy, cyrkle, ołówki, log i kątomierz.

—Czego? — spytał krótko.

Zorientowałem się, że nie włączyłem swego mikrofonu i dlatego nikt mnie nie słyszy. Przestawiłem kontakt i zapytałem o kurs.

—Co masz na busoli? — spytał zamiast odpowiedzi.

Na busoli miałem karuzelę obracającej się róży wiatrów.

—Moja też się nadaje na ruletkę — powiedział zatroskany. — A jak żyro?

—Żyro działa, ale po tym wszystkim . . . Mogło nas znieść diabli wiedzą ile. No i kompas mógł się rozregulować.

—Miał prawo — zgodził się Zygmunt.

—No i co będzie?

—A co ma być? Leć dalej według żyro. Zawsze gdzieś dolecimy.

—Jeżeli starczy benzyny — odezwał się Lejba, który tymczasem wrócił ze spadochronem i wielkim guzem na czole.

Istotnie — mogło nam zbraknąć benzyny, i to w najgorszej chwili, nad morzem. Ale cóż nam pozostało innego? Trzeba było wyjść z tej burzy i wtedy dopiero starać się o namiary, określające naszą pozycję. Do tego czasu mogło nas oblodzić po raz trzeci, mogły nawalić silniki, mogło zabraknąć benzyny . . .

Mimo tak niepewnej sytuacji, wydawało mi się, że najgorsze jest poza nami. Oddałem stery Lejbie, który nadal porał się z wichrem. Sam usiadłem obok niego w pogotowiu i usiłowałem dojrzeć coś w ciemności przez szyby kabiny. Raz po raz siekło deszczem i przewiewała blisko gęsta, skłębiona para obłoków. Poza tym nic nie było widać.

Lecieliśmy tak ze dwadzieścia minut. Wreszcie rzucanie osłabło i wiatr zaczął się uspakajać. Busole ustatkowały się. Ich kurs był zgodny z kursem żyro-kompasu. Koza, który od dłuższej chwili usiłował ustalić naszą pozycję dostał na koniec *fix*[2] trzeciej klasy, a Zygmunt obwieścił triumfalnie, że minęliśmy Bruges i wchodzimy nad morze między Ostendą a Blankenberghe.

—Do bazy 200 mil! Do najbliższego brzegu — 90 mil.

Obliczamy szybko zużycie paliwa.

—Starczy! ! !

Natychmiast nastrój podnosi się o kilkadziesiąt stopni. Pryszczyk gada jak nakręcony, Zygmunt przestaje żałować swoich map, Koza dostaje raz po raz *fixy*, i to całkiem już dokładne, Lejba "powozi" maszyną, jak jednokonną dorożką, ja sam pogwizduję jakieś skoczne walczyki.

Lecimy jak po sznurku. W pół godziny po opuszczeniu brzegu belgijskiego wchodzimy nad Anglię koło Aldborough, mijamy hrabstwo Suffolk i Cambridge, sumiemy nad Lincoln.

Tu jest już jasna, bezchmurna pogoda. Znajome miasta śpią w dole, spokojne i ciche. Błyszczą gdzieniegdzie światła lotnisk. W górze płyną powracające "Wellingtony" i "Lancastery", każdy swoim szlakiem, albo w grupach po kilka, jeden za drugim.

Lejba rozgląda się za naszym lotniskiem.

—Jest!

Na widok błyszczących liter FH obok wieżyczki kierownictwa ruchu, ogarnia mnie wzruszenie. Chyba wszyscy patrzymy w tej chwili na te litery, które są dla załogi symbolem bezpieczeństwa; synonimem powrotu z jeszcze jednej wyprawy.

Nie. Pryszczyk patrzył w górę, bo słyszę jak mówi podniesionym głosem:

—Jak pragnę Boga — ciocia Andzia!

—Gdzie? — pyta Lejba.

—A o: nad lasem, panie poruczniku. Na jednem silniku się tu przytaszczyła, no! Faktycznie cwane chłopaki: przez te huździawkie — na jednym silniku.

Spoglądam we wskazanym kierunku. Nad lasem kładzie się w skręt "znajoma znad Karlsruhe", o nieruchomym śmigle. I znów zastanawiamy się, która to załoga . . .

Ale — już pozwalają nam lądować. Czarny *runway* pędzi pod wysunięte podwozie. Pneumatyki kół liznęły go raz, drugi. Przywarły do asfaltu. Piszczą hamulce.

—O.K. — mówi Zygmunt i pierwszy gramoli się do wyjścia, jeszcze w biegu.

Kołujemy na swoje miejsce, obracamy się na prawym silniku i Lejba wyłącza. Prostuję ścierpłe nogi i złażę na ziemię. Jaka to rozkosz chodzić! . . .

Ale nie czas jeszcze na spacer: autobus zabiera nas na "spowiedź" i na *"nice cup of tea"* z rumem. To też ma swój urok.

Jadąc oglądamy się na "ciocię Andzię". Ginie nam z oczu za ścianą hangaru, podchodząc do lądowania z wypuszczonym podwoziem.

—Dzielna załoga — mówi Zygmunt z uznaniem.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami Pryszczyka, żaden z nas nie wzdragał się przed wypiciem należnego rumu. Odbyliśmy szczegółową "spowiedź" u "inteligentnego" i szliśmy wolno w stronę kasyna i kwater, wdychając świeże, chłodne powietrze, pachnące zbożem i sianem. Mijając hangar, spotkaliśmy Ferenca. Szedł, prowadząc rower i przystawał co chwila, żeby spojrzeć w stronę lotniska. Lejba zagadnął go o załogę samolotu A — jak Anna:

—Wylądowali dobrze?

Ferenc popatrzył na nas kolejno, po czym odwrócił się i wskazując ręką kierunek powiedział:

—Tam . . . pięć trupów.

Pod lasem widać było prosty, wysoki słup dymu.

—Zwalili się przed samym lądowaniem — mówił dalej. — Zanim straż ogniowa zdążyła dojechać, spalili się wszyscy.

—Kto był w tej załodze? — spytał Zygmunt.

Ferenc wymienił cztery nazwiska.

—Same młodziaki — dodał. — Piąty był Gomorek, ten, co to . . . pan kapitan wie?

Pryszczyk powtórzył:

—Gomorek?! — i ruszył na przełaj ku dopalającej się maszynie, energicznie wycierając nos po drodze.

Nikt go nie zatrzymywał. Zdawało mi się, że ramionami naszego tylnego strzelca wstrząsa płacz.

PORUCZNIK HERBERT

* Por. pierwszą część opowiadania w nr. 44 "Polski Walczącej" z b.r.

[1] *Interkom* — telefon pokładowy
[2] *Fix* — pozycja.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4593 książek

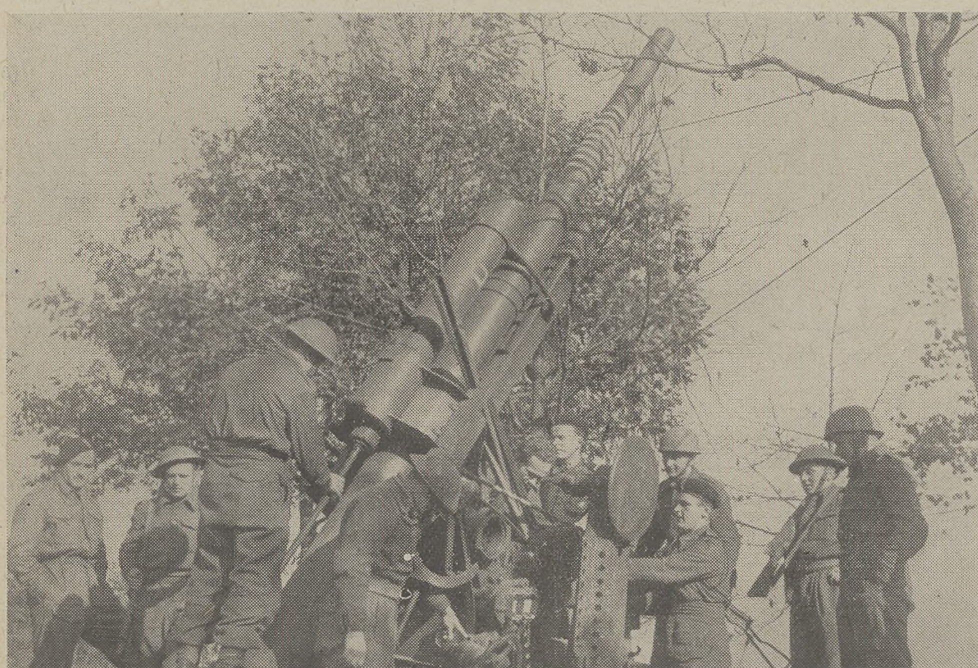
Dywizja Pancerna w Holandii



Polski czołg w Alphen w drodze do Tilburg



Kościół w Driesprons /1 klm. przed Bredą/ wysadzony przez Niemców



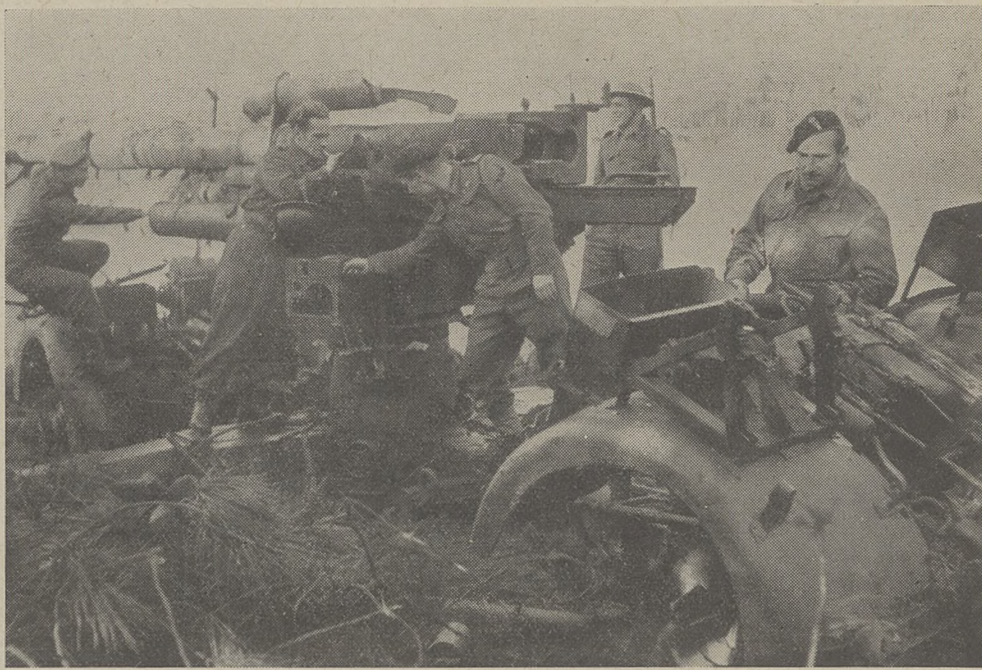
Polscy artylerzyści przygotowują działo do akcji



Działo p-panc. na froncie koło Gilzy



Jeńcy niemieccy wzięci do niewoli przez Polaków



Armaty porzucone przez Niemców w pobliżu Barle Nassau



Czołgi i wozy na ulicach Bredy



Mieszkańcy Bredy, witający polskie wojska pancerne

s/s "Warszawa" tonie!

s/s "Warszawa" na holu

Dnia 22 grudnia roku 1941 ukończyliśmy ładowanie amunicji, bomb, sprzętu wojennego oraz mrożonego mięsa, przeznaczonych dla zaopatrzenia Ósmej Armii, a między innymi jej jednostkami — dla Brygady Karpackiej. Nazajutrz rano zaokrętowaliśmy około pięciuset żołnierzy nubijskich i kilkunastu oficerów.

Przed południem udałem się do *"Naval Control Office"* na t.zw. "konferencję". Dowiedziałem się, że wyznaczono mnie na *comodora* konwoju, który miał się składać z pięciu transportowców. Eskorta okrętów wojennych miała być — jak na owe czasy — bardzo liczna.

Wyjście naszego konwoju z portu wyznaczone na godzinę 17-ą opóźniło się znacznie, gdyż akurat o tej porze nadszedł z morza inny konwój. Statki "na wejściu" miały pierwszeństwo. Ostatecznie dopiero koło 19-ej mijaliśmy zaporę wyjściową portu.

Gdy arabski pilot dowiedział się, że idziemy na zachód, nie zaś na wschód — za żadne skarby nie chciał wyprowadzić statku na redę zewnętrzną. Twierdził, że na morzu jest zbyt wielka fala i zbyt ciemno, aby łódź pilotowa mogła go zabrać z powrotem. Gdybyśmy szli na wschód, chętnie popłynąłby z nami nawet do następnego portu, ale na zachód — nie: jeszcze mu życie miłe . . .

Mimo ciemności i braku jakichkolwiek świateł orientacyjnych, mimo rzeczywiście dużej fali i silnego prądu, który znosił "Warszawę" pod prostym kątem do kursu, wyminąłem szczęśliwie wrak dużego statku zatopionego na *farwaterze* i nie zawadziwszy o żadną boję, a co ważniejsze — o żadną skałę, których tam jest mnóstwo, wyprowadziłem statek na szersze wody.

Noc była tak ciemna, że nie mogliśmy zaobserwować, czy inne statki należące do naszego konwoju wyszły z portu, czy nie. Nie zauważyliśmy również ani jednej sylwetki okrętów eskortujących. Sądziłem, że jeśli inne statki nie będą mogły opuścić portu z powodu ciemności, dowódca eskorty powiadomi mnie o tym i otrzymam jakieś instrukcje.

Koło 4-ej nad ranem zacząłem wątpić, czy jakikolwiek statek prócz "Warszawy" wyszedł z portu. Dopiero w półtorej godziny później zauważyliśmy daleko w tyle na tle szarzejącego widnokręgu jakieś niewyraźne kontury. Zmniejszyłem szybkość do "małej" i czekałem, aż te niewyraźne cienie dogonią "Warszawę". Wkrótce potem zauważyliśmy w przedzie z prawa i z lewa okręty eskorty. Koło godziny 9-ej konwój został sformowany, jednak zamiast pięciu transportowców były tylko trzy. Jak się później dowiedziałem — jeden z dwóch pozostałych doznał uszkodzeń, zawadziwszy o wrak przy wyjściu z portu, a drugi wobec tego zrezygnował z próby wyjścia w nocy.

Przez dwie następne doby wlekliśmy się jak muchy w smole, gdyż nasi towarzysze podróży nie mogli wyciągnąć więcej niż 4-5 węzłów pod silny wiatr zachodni i dużą falę. "Warszawa" pracowała albo pół, albo małą mocą.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia rano odparliśmy nalot trzech bombowców nieprzyjacielskich. Wszystkie bomby spadły w wodę, nie robiąc nikomu krzywdy, ale i wszystkie trzy samoloty odleciały nie odniósłszy prawdopodobnie uszkodzeń.

Tegoż dnia popołudniu okręty eskorty rzucały granaty głębinowe. Jednak do ataku okrętów podwodnych nie doszło; nie zauważyliśmy nawet peryskopu.

Noc znowu minęła spokojnie. Nazajutrz o świcie chmury, które od pięciu dni zasnuwały całe niebo, zaczęły się rozchodzić. Wkrótce potem wyjrzało słońce, a przed południem wypogodziło się zupełnie, tylko wiatr zachodni dął ciągle z siłą 6 — 7. Fala była duża i towarzyszące nam transportowce ciągle zostawały w tyle, tak że co pewien czas musiałem zmniejszać szybkość naszego statku, aby nie zgubić reszty konwoju.

O 2.30 po południu byłem w nawigacyjnej i obliczałem, czy przed zachodem słońca zdążymy dojść do portu przeznaczenia i zakotwiczyć w odpowiednim miejscu. /W przeciwnym razie musielibyśmy noc spędzić na morzu i krążyć niezbyt blisko portu/. Właśnie zmierzyłem na mapie pozostałą odległość cyrklem i miałem odczytać ilość mil, gdy statek zatrząsł się silnie i dosłyszałem jakby bardzo odległy wybuch. W pierwszej chwili pomyślałem, że to zderzenie z innym statkiem, ale nim zdążyłem otworzyć drzwi nawigacyjnej i wyjść na pokład, miałem już meldunek: torpeda uderzyła w rufę statku.

Nie było czasu na pytania: kto widział ślad torpedy, z jakiego kierunku była wystrzelona, czy widziano peryskop i t.d. Najpierw trzeba było stwierdzić rozmiary szkód i przekonać się, czy statek da się uratować, a jeśli nie, to ile czasu pozostaje na ewakuację pasażerów i załogi.

Na rejkę wciągnięto sygnały flagowe. Jeden dla dowódcy eskorty, drugi dla konwoju.

Wkrótce napłynęły dalsze meldunki: woda wdarła się przez tunel do maszynowni i dalej do kotłowni; podchodzi pod paleniska kotłów. Palacze wygarniają ognie, starszy i drugi mechanik zamknęli drzwi wodoszczelne do tunelu, i na razie poziom wody w maszynowni podnosi się bardzo powoli. Być może, iż dopływ wody do wnętrza statku wkrótce ustanie.

Wybuch torpedy urwał śrubę, ster, stewę tylną, działo na rufie, i zniszczył zupełnie kubryk załogi.

Czterej ludzie z załogi zostali zabici. Również koło dwudziestu pięciu żołnierzy, którzy siedzieli na rufie na gretingach ręcznego steru, zostało zabitych, lub wyrzuconych w morze. Brak marynarza P., z którym nie wiadomo co się stało, ale reszta załogi, pomimo iż część jej była w kubryku, ocalała.

Wybuch zniszczył dwie łodzie ratunkowe i dwie tratwy. W ładowni nr. 4 woda sięga do wysokości trzech metrów ponad zenzy.

Sytuacja nie była groźna, ale o dalszej podróży bez pomocy holowników nie mogło być mowy. Poza tym statek był stary i już dawno przed wojną wydano wyrok, że gdy tylko nowa "Warszawa II" będzie gotowa, stara pójdzie na złom.

Nie miałem zbyt wielkiego zaufania do mocy przegrody wodoszczelnej między czwartą ładownią i maszynownią. Jeżeli ta przegroda "nawali", statek może zatonąć bardzo szybko. Jeżeli nastąpi to o zmroku, ewakuacja kilkuset żołnierzy i oficerów będzie bardzo trudna. Pozostało nam tylko siedem łodzi ratunkowych i prymitywne tratwy, a raczej pływaki korkowe. Fala jest duża i wiatr mocny, więc morze nie uspokoi się do wieczora . . .

Niezawodnie okręty eskorty, które rozbiegły się na wszystkie strony i gdzieś na widnokręgu rzucają granaty głębinowe, wrócą wkrótce, aby przekonać się co się z nami dzieje. Ale jeśli nawet któryś z nich weźmie nas na hol — holowanie potrwa przynajmniej dziesięć do dwunastu godzin. Do portu przeznaczenia pozostało nam 14 mil; do najbliższego brzegu 8 — 9 mil. Tylko nie wiadomo, kto jest na tym najbliższym brzegu: swoi, czy nieprzyjaciel? . . .

Gdy rozważałem te sprawy, zameldowano mi, że poziom wody w maszynie i kotłowni podniósł się w ciągu 20 minut t.j. od chwili zamknięcia drzwi wodoszczelnych z tunelu, o 3 do 4 cali.

Porozumiałem się z dowódcą transportu wojskowego i gdy pierwsza korweta z eskorty podeszła do nas na odległość 300 — 400 m. zarządziłem spuszczenie łodzi ratunkowych.

Mam wrażenie, że decyzja ta wśród większości Nubijczyków wzbudziła jednocześnie radość i przestrach. Pomimo zapowiedzi, że do szalup ma wejść tylko połowa transportu, a druga połowa będzie ewakuowana później — żołnierze zaczęli wyrzucać tratwy, a niektórzy skakać do wody w pasach ratunkowych. Przy pomocy oficerów transportu udało nam się wkrótce opanować sytuację, tym bardziej, że jeden z okrętów eskorty podszedł do naszej burty i można było po prostu przeskakiwać z pokładu na pokład. Niestety trzech czy czterech przerażonych żołnierzy w gorączce pośpiechu wpadło między burty korwety i naszego statku, i gdy fala zderzyła je ze sobą — nieszczęśliwcy zostali zmiażdżeni.

Tymczasem innych rozbitków zabierała z łodzi ratunkowych korweta dowódcy eskorty. Byli między nimi również członkowie naszej załogi, którzy mieli wrócić z szalupami po drugą partię transportu, co dopiero później okazało się niepotrzebne.

Lecz i większość załogi była niepotrzebna na tonącym statku, pozbawionym możności poruszania się i manewrowania. Wydałem polecenie, aby na "Warszawie" została tylko załoga pokładowa, gdyż ciągle miałem nadzieję, że statek uda się doholować do portu i uratować cenny jego ładunek. Jednakże znaleźli się ochotnicy i z innych działów: z maszyny i spośród stewardów, oraz lekarka okrętowa, która uważała, że jej obowiązkiem jest pozostać na "Warszawie" do końca. Zgodziłem się na tę ochotniczą służbę, tym skwapliwiej, że prócz ludzi do pracy, trzeba było obsadzić załogą karabiny maszynowe. Nasi artylerzyści po stracie działa uważali widocznie, że rola ich na "Warszawie" została zakończona i jedni z pierwszych wsiedli do łodzi ratunkowych bez mego pozwolenia i wiedzy.

W ten sposób pozostało nas na statku 19 osób. W dwie godziny po wybuchu torpedy, korweta dowódcy eskorty wzięła nas na hol. Nie można było tego nazwać holowaniem, bo statek pozbawiony możności sterowania ustawiał się to lewą, to prawą burtą do wiatru i dzięki ofiarnej pomocy brytyjskiego okrętu zyskaliśmy tylko tyle, że "Warszawa" nie dryfowała na wschód.

Niebezpieczeństwo ponownego ataku nieprzyjaciela bynajmniej nie minęło. Przeciwnie, wzrosło nawet, gdyż dwa okręty połączone holem i niemal zupełnie pozbawione szybkości stanowiły obecnie łatwy cel dla wroga, prawdopodobnie przyczajonego gdzieś w pobliżu.

Ukończywszy pracę z podaniem i zamocowaniem holu, wzięliśmy się do uszczelnienia iluminatorów w międzypokładach. "Warszawa" miała niewielki przechył na lewą burtę i obawiałem się, że przechył ten może się zwiększyć.

Koło godziny 5 minut 30 pękł hol i straciliśmy ponad pół godziny na podanie drugiego, który trzeba było przeciągnąć z rufy na dziób.

Jednocześnie sprawdzaliśmy co kilkanaście minut stan grodzi wodoszczelnej między czwartą ładownią a maszyną, i mierzyliśmy wszystkie zenzy. Okazało się, że woda przedostaje się również do środkowej i do obu przednich ładowni, a poziom jej podnosi się tam o 5 — 6 cali na godzinę. Rufa tonęła trochę prędzej, ale ponieważ o zachodzie słońca wiatr, który tymczasem doszedł do siły 8, zaczął nieco ścichać, nadzieja uratowania statku wciąż jeszcze nas nie opuszczała.

Według moich obliczeń, przy tej szybkości przybierania wody w ładowniach, mogliśmy się byli utrzymać na powierzchni jeszcze co najmniej 12 godzin. Liczyłem, że jeśli fala nieco się uspokoi — a na Morzu Śródziemnym uspakaja się szybko — będziemy robili przynajmniej dwa węzły. Jednakże widocznie przeznaczeniem "Warszawy" było zginąć dn. 26 grudnia.

Noc była dosyć widna, gdyż niebo było bezchmurne, a księżyc zawieszony wysoko. Około pół do 8-ej potężny wstrząs targnął statkiem. Tym razem wielka torpeda ugodziła "Warszawę" nieco w przód od mostku nawigacyjnego, zapewne w drugą ładownię. Olbrzymi słup wody, spadając na statek, zakrył go zupełnie przed oczami załogi korwety.

—Myśleliśmy wówczas, że już po was wszystkich i że już wam nic nie potrzeba prócz znaku krzyża świętego — opowiadali nam później ci, którzy to obserwowali z korwety.

Ilość wody spadającej na statek była tak wielka, że nie mogłem otworzyć drzwi od nawigacyjnej. Pomyślałem wówczas, że mostek siłą wybuchu został oderwany od statku i rzucony w morze, i że jestem już pod powierzchnią wody. W końcu jednak drzwi ustąpiły i wypadłem na pomost. "Warszawa" wyprostowała się nieco, to znaczy, że zadarty dotychczas w górę dziób zanurzył się silnie, a rufa nieco uniosła się w górę. Statek tonął szybko. Nie mieliśmy chwili do stracenia.

Niestety jeden z oficerów w pośpiechu puścił przednią talię ostatniej łodzi ratunkowej, jaka nam została. Szalupa zawisła na tylnej talii, dziobem w dół, rufą ku górze; cały jej ekwipunek oraz moja teczka z kasą i dokumentami okrętowymi wpadły do morza. Górny blok także został złamany i nie można było liny poluzować.

Ale w chwili niebezpieczeństwa działa się szybko. Nie wiadomo skąd znalazła się siekiera. Jeden z marynarzy wdrapał się na szlupbelkę i kilku uderzeniami odrąbał blok. Łódź spadła do morza, zanurzyła się aż po rufę i po chwili wypłynęła pełna wody. Nie trzeba było do niej skakać, ani chwytać jej bosakami: statek tonął tak szybko, że główny pokład był już pod wodą, tylko śródokręcie wystawało jeszcze ponad fale.

Gdy część załogi wsiadała do szalupy, inni wynieśli dwóch rannych: gospodarza bufetowego i cieślę, którzy w chwili wybuchu sprawdzali iluminatory w jadalni II klasy.

Na szczęście wiosła w szalupie były przywiązane i nie wypadły wraz z resztą inwentarza. Staraliśmy się sprawdzić czy są wszyscy. Nie stwierdziliśmy braku nikogo i odbiliśmy od burty statku. Czas był na to wielki, bo "Warszawa" pochyliła się silnie na prawą burtę. W każdej chwili mogły przewrócić się maszty i polecieć na nas belki i żelastwo pourywane wybuchem.

Tymczasem dokoła nas, w promieniu dwóch mil, rozgorzała bitwa. Wszystkie okręty eskorty, które znikły za widnokręgiem zaraz po pierwszej torpedzie, wystrzeliły flary — zrobiło się widno. Rzucały co chwila granaty głębinowe, a nawet któryś otworzył ogień z dział. Nasza korweta-holownik, która silnym szarpnięciem zerwała hol zaraz po drugiej torpedzie i pełną mocą poszła naprzód, była teraz też daleko od nas.

Gdy odpłynęliśmy jakieś dwieście metrów od "Warszawy", statek nasz znikł z powierzchni morza. Wytrwał w służbie do końca, godzien imienia, które nosił.

W niespełna półtorej godziny później znaleźliśmy się na pokładzie korwety, która nas odszukała. W kilka minut potem odnaleźliśmy całego i zdrowego st. mar. Komorka, którego brakowało na szalupie do naszej dziewiętnastki. Siła wybuchu wyrzuciła go z pokładu "Warszawy" daleko w morze, miał on jednak na sobie pas ratunkowy, poza tym zaś przywiązał się paskiem do drewnianej belki, którą spostrzegł w pobliżu po zakończeniu swej pierwszej, kilkudziesięcio-yardowej podróży powietrznej.

TADEUSZ MEISSNER

Łódź ratunkowa z rozbitkami s/s "Warszawa"

Echa leśne



Najwyższy i najniższy kapitan w lotnictwie polskim. Pierwszy pod imieniem Michał jest jednym z bohaterów, drugi autorem—tego opowiadania

Motto: Z Blackpool'u, lotniku, powstałeś i do Blackpool'u powrócisz.

—"Mam *posting*".
—"Dokąd?".
—"Wstydzę się powiedzieć".
—"Do Blackpool'u?"

Taka rozmówka "rzuca światło", prawda? — albo raczej rzuca cień. A przecież Blackpool to gniazdo naszego lotnictwa /wielu gnieździ się tam latami/, to początek i koniec każdego lotnika /zwłaszcza koniec/, to nasz Stary i Nowy Testament /tu mieści się Komisja Spadkowa/.

Historia polska sławnego miasta rozpoczyna się w maju 1940 roku, kiedy to wszyscy Polacy, będący wówczas w RAF'ie */Polish Units RAF/* zostali przeniesieni z Eastchurch do Blackpool. Wkrótce potem zaczęli napływać nasi lotnicy z Francji i na Promenadzie obok rodaków sztywnych i dumnych w nowiuteńkich mundurach angielskich ukazywali się rodacy w mundurach polskich, francuskich i mieszanych.

Eastchurch'ycy nazywali się: angielscy Polacy, a tamci — francuscy Polacy. Angielscy Polacy mieli kompleks wyższości wobec francuskich, bo brali pensje i byli zdolni do konwersacji z dziewczynkami:

Ona: *"Do you like England?"*
On: — *"O, yes."*
Ona: — *"Do you like Blackpool?"*
On: — *"Oo, yes."*
Ona: — *"Do you like meee?"*
On: — *"Ooo . . ."*

Francuscy Polacy nie mieli pieniędzy, a rozmowę z Anglikami rozpoczynali od: *"Parlez-vous français?"* poczem milkli, jeżeli rozmówca umiał po francusku.

Stopniowo jednak różnice się zatarły. Wprowadzono jednolite mundury, z polskimi guzikami — oczywiście najważniejsze guziki — po guzikach poznawało się patriotę. Czasem przyjeżdżał na urlop Polak z angielskiego dywizjonu, gdzie polskie rozkazy w ogóle nie dochodziły, i świecił angielskimi guzikami, lub, co gorsza, konserwował na piersi angielskie *pilot's wings*. Ileż cytat sypało się na jego głowę: "Pawiem narodów jesteś i papugą". Nie pomagało tłumaczenie, że, będąc w angielskim dywizjonie, jest przecież "służebnicą cudzą".

Od tych czasów lata minęły, ale Blackpool twierdzą niezdobytą lotnictwa polskiego pozostał. Zmieniały się tylko hotele, w których stało dowództwo, aż wreszcie znaleźli hotel o właściwej nazwie. Nie zmienia się rozkład zajęć /9 — śniadanie, 1 — obiad, 5 — podwieczorek/, nie zmienia się frekwencja na lekcjach angielskiego, nie zmienia się prześcieradeł na *billeting'ach*.

Samo miasto, rzecz prosta, też się nic nie zmieniło. Wieża stoi, jak stała, w kramach na Promenadzie Bing Crosby drze się z ochrypłych głośników, najbrzydsza na świecie kobieta pokazuje się za *sixpence* wraz z mężem — najbrzydszym na świecie mężczyzną /opłata wzrośnie, kiedy interes powiększy się o najbrzydsze na świecie dziecko/, najbrudniejsze na świecie morze pieni się brudną pianą, na brudnym, mokrym, zimnym piasku wybrzeża tulą się brudne, mokre, gorące pary, a w całym mieście panuje charakterystyczny, mocny, niezmienny zapach *fish and chips*.

Powitanie lotnika, przybywającego służbowo do Blackpool'u odbywa się w budynku hotelu o sławnej już nazwie *"Goodwood"*, co niektórzy tłumaczą na polski: leśniczówka. "Goodwood" jest "Rubensem" Blacpool'u. Na domu widnieje zachęcający napis: *private and commercial*. Okazuje się, że drugie piętro jest *private*, a trzecie — *commercial*.

Bardziej popularnym lokalem jest Ognisko Polskie, gdzie wieczorami zbiera się miejscowa Polonia: stare, blackpoolskie wygi, co zęby zjadły w oczekiwaniu na *posting* — "na latanie" oczywiście.

—"Wie pan, w tym tygodniu odchodzę na latanie, absolutnie pewne, jestem na pierwszym miejscu na liście".

O pierwsze miejsce na liście stosunkowo łatwo: idzie się na piętro *"private"* do "Goodwood'u" i prosi się o wysłanie na latanie.

—"Na latanie, ależ naturalnie, wpiszę pana zaraz na listę, przed wszystkimi, o, widzi pan, w pana oczach, mam tu już sześć nazwisk, ale pana wpiszę na pierwszym miejscu, u góry".

Następnych interesantów wpisuje się na dalszych pierwszych miejscach, póki starczy miejsca u góry listy.

Poza rezydentami jednak przewija się przez Ognisko wielu "przejezdnych": z I.T.W. do E.F.T.S., z armii do lotnictwa, ze stanu podchorążackiego do oficerskiego. Tu można usłyszeć nieoficjalne nowiny, często w cynicznej formie:

—"Ferdek się zabił, ale za to Bolek oczekuje potomka lada dzień".

—"Ostatnie wiadomości polityczne: Karol zachorował na ślepą kiszkę w przeddzień pójścia do dywizjonu".

W ognisku również można spotkać starych przyjaciół, świeżo "emerytowanych" z dywizjonu. Dymią jeszcze operacyjnym lataniem, a mowa ich, jak szampan, perli się i strzela i wabi nowicjuszów. Przechodzisz między stolikami i nagle słyszysz, jak Śliwka opowiada z kąta:

—"Pod koniec tego *party* Kazik nakręcał patefon, ale w ten sposób, uważasz, że korbę trzymał w miejscu, a kręcił patefonem. Jak sprężyna pękła, to patefon odrzuciło prosto w moje piersi. Splunąłem żebrem i powiadam do Wacka: Wacuś, przebacz, zepsułem ci patefon. Ale on był już zalany, mówię wam, rzygał zębami".

W Blackpool'u można spotkać na ulicy nieboszczyków. Tu dopiero przekonałem się, jak jestem odważny: idę Promenadą w biały dzień i nagle widzę twarzą w twarz — ducha Michała, uśmiechniętego ducha.

—"Michał — powiadam — przecież ty nie żyjesz?"

—"Żyję — twierdzi nieprzekonywająco — właśnie przyjechałem z Italii".

—"Z tamtego świata chyba — zaperzam się — przecież zginąłeś w 138-ym, wiarygodni ludzie mówili mi pół roku temu. Mógłbyś nie straszyć kolegów, ale coprawda, jeżeli musisz pokutować, to nic dziwnego, że jesteś w Blackpool'u".

W końcu dałem się przekonać. Trzeba przyznać, że na ducha Michał nie wygląda, jest najwyższym i najmłodszym kapitanem lotnictwa, ma dwadzieścia trzy stopy i siedem lat, *pardon me* — dwie stopy, dwadzieścia trzy lata i ponad dwa metry. Ze skromnością pensjonarki i prostotą dziecka opowiada o swoich lotach nad Polską na "Halifaxach" i "Liberatorach": jak dziwnie "w domu" czuł się, prując na dwustu — trzystu stopach nad Krakowem, Wisłą: "nawet — powiada, — gdyby przyszło przymusowo lądować, to by się człowiek źle nie czuł".

Pewno, że nie czułby się tak źle, jak musiał czuć się Staszek, kiedy przymusowo lądował po niemieckiej stronie w którymś tam dniu inwazji. Staszek też uchodził za nieboszczyka i też w Blackpool'u spotkałem go na ulicy. — Wstąpiliśmy zaraz do baru, żeby czasu ani grosza nie tracić, i tam opowiadał mi, jak to, drugi raz w tej wojnie, a po czterech latach od pierwszego razu, przyszło mu wysiadać w powietrzu; jak po wylądowaniu gromada dzieciaków go obskoczyła, — myśleli, że Amerykanin i chcieli gumy do żucia; jak potem zaopiekowali się nim *Maquis* i chcieli, żeby czekał, aż front przyjdzie do nich, ale jemu się znudziło, więc chyłkiem i pomacku, o jagodach i korzonkach wędrował na zachód, aż się oparł o plażę i wiedział, że już jest bezpieczny.

A już sensacją był powrót Józia. Pół roku minęło, jak opłakaliśmy go, a opłakiwaliśmy serdecznie, "bo naprawdę taki porządny gość i swój chłopak". Aż tu któregoś chmurnego dnia rozjaśnia się nagle w Blackpool'u: to nie słońce zza mgły wyjrzało — to dziewczęca twarz Józia promienieje słonecznym uśmiechem.

A kogóż to moje piękne oczy widzą na Promenadzie? — Władzio kochany, też z tamtego świata wrócił — z kulą w wątrobie. *Strafing* robił Niemcom, a oni jemu. Najpierw mu pod ogonem wybuchł pocisk artyleryjski, aż się nosem zarył, Bogu dzięki — w powietrze. Rusza sterami — słuchają. Dobra! ale mu od silnika przygrzali: młockarnia się robi z "Merlina", potem dym, a potem ogień.

Skakać za nisko, szybkość 400 mph, na tej szybkości odbywa się lądowanie. Krótkie i głośne. Wyskakuje Władzio z kupy dymiącego żelastwa i skokiem w krzaki. Ale widzą go, gonią i strzelają. Nim dobiegł do lasu, miał kulę w wątrobie i tak go złapali. Przez dwadzieścia osiem godzin bez pomocy lekarskiej sam własną chustką do nosa krew sobie tamował.

Kiedy go wreszcie lekarzowi przedstawili — ten, spojrzawszy na ranę, kazał szybko czterem drabom na leżąco go trzymać i żywe mięso ciął bez znieczulenia. Ale nie domacał się kuli, więc tylko opatrunek zrobił i, machnąwszy ręką, zostawił. Z tą raną i kulą władzio wykradł się Niemcom i wrócił do swoich.

Dziś spaceruje po Promenadzie w Blackpool'u. Myślicie może, że wygląda, jak nieboszczyk czekający na transfuzję krwi? — Jak byk, powiadam wam, wygląda, jak byk!

—"Wiesz, kochany — mówię do Staszka — że wy wcale nie wiecie, kiedy tam latacie, jaki wasze losy mają oddźwięk po całej Anglii, po wszystkich stacjach, gdzie pokutują emerytowani myśliwcy lub myśliwskie embriony. — Uda się wam coś zestrzelić, to cieszą się z tego w Stormy Down, i w Castle Kennedy, i w Kundelbury. A czasem, gdzieś w Torturton ktoś przyjdzie i powie: "Staszek nie wrócił". I gęby smutnieją, a niejeden zaklnie brzydko — takie myśliwskie "Wieczne Odpoczywanie". A kiedyindziej wejdziesz do messy, a tu cię obskoczą i wołają: "Staszek się odnalazł". Więc ty najpierw z radości dajesz kopniaka najbliższemu, ale dla pewności bijesz w głowę tego, co przyniósł nowinę, żeby się przekonać, czy nie pijany. A jak nie, to dopiero zajmujesz się tym, żeby go trzeźwo tego wieczora nie wypuścić".

Staszek rozrzewnił się /a już dość rzewny był przedtem/:

—"No to, pod tę nowinę — żem się odnalazł".

—"Pod tę nowinę" — powiadam. I, brząknąwszy w kielichy, dodaję nasze staropolskie: — "Czyryło!"

I tak opuszczamy *dispersal*.

Myśliwskie *dispersal* w Blackpool to: Savoy /café/, Palatine /bar/ i "99" /klub/. *Readiness* w Palatine — w południe, w Savoy —po południu, a w "99" — nocne patrolowanie. Ale któregoś dnia zwołało się całe bractwo do kupy — parę dywizjonów można by z tej liczby wykroić. Jeszcze i tu spotkało się znajomków sprzed lat.

Szymona nie poznałem. Po prostu nie poznałem: ten szykowny, tęgi, w sile wieku małżonek — toż to ten sam dzieciak, co przed trzema laty w pierwszym swym locie operacyjnym zestrzelił "Messerschmidta", wołając przerażonym głosem:

—"Rany boskie, zestrzeliłem Szwaba!"

Bronka też trudno było poznać: ale ten wychudł i zmizerniał i pociąga biedak sztywną nogą po ostatnim zestrzeleniu. Bronek regularnie raz do roku był zestrzeliwany i zawsze dał sobie radę. Raz belgijscy patrioci zaopiekowali się nim i, nie mając go gdzie ukryć przed Gestapo, przez trzy tygodnie trzymali w trupiarni. Bronek ranny był ciężko, ale nie przyłączył się do grona nieboszczyków, w którym gościł.

Wesoło i gwarno było na zebraniu. Przez godzinę oddychało się powietrzem dywizjonu, mówiło się dywizjonowym językiem, śmiało się dywizjonowym śmiechem.

Raz myśliwiec — na zawsze myśliwiec. Jest jakaś siła tajemnicza, jakieś więzy niewidzialne, co nas wiążą, każą czuć się bliskimi, bratają, odmładzają i rozweselają. Jest jakieś porozumienie milczące, umowa niepisana, sympatia niewytłumaczona, co trzyma razem "emerytowanych", dodaje otuchy inwalidom, rozjaśnia i rozszerza horyzonty.

Nawet horyzonty blackpoolskie.

GUSTAW NIERAD

Skrzynka pocztowa

LIST OD WOJOWNICZEGO KORESPONDENTA WOJENNEGO



Marian Walentynowicz

LIST SEKCJI OPIEKI NAD JEŃCAMI STOWARZYSZENIA SŁUŻBY SPOŁECZNEJ KOBIET

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z odbytym w dn. 29 września r.b., Walnym Zgromadzeniem naszego Stowarzyszenia pozwalamy sobie za łaskawym pośrednictwem "Polski Walczącej", złożyć naszym ofiarodawcom, choć krótkie sprawozdanie z naszej działalności, dzięki których uczynności mogłyśmy rozwinąć w szerszym zakresie naszą akcję.

Sprawozdanie nasze obejmuje okres czasu od dnia 6 kwietnia 1943 roku do dnia 25 września r.b.

Organizacja nasza obejmuje swą stałą opieką, jak dotąd, 935 jeńców, w czym 606 ze Stalagów oraz 329 z Oflagów.

Jeńcy ci otrzymali za naszym pośrednictwem:

4982 paczki papierosowe, po 1000 lub 500 sztuk każda,

805 paczek żywnościowych,

297 paczek odzieżowych, oraz wiele paczek inwalidzkich i z podręcznikami naukowymi.

Organizacja pomocy nie została obciążona ani jednym groszem wydatków administracyjnych. Absolutnie wszystkie pieniądze zostały zużyte zgodnie z intencjami ofiarodawców.

Cała pomoc szła i idzie pod nazwą "paczek od serca". Są to rzeczywiście serdeczne ofiary, jakie społeczeństwo nasze, zaś w szczególności społeczeństwo wojskowe składa, w głębokim odczuciu i zrozumieniu niedoli swych braci i towarzyszy broni.

Dziękując z głębi serca w imieniu wszystkich obdarowanych, pragniemy na tym miejscu przypomnieć, że los naszych jeńców bynajmniej nie uległ poprawie oraz, że liczba ich zwiększyła się jeszcze o bohaterskich obrońców Warszawy.

W związku z tym powstają przed nami nowe obowiązki. Wobec wielkich strat, jakie nasz Naród ponosił i ponosi w dalszym ciągu, tym większa winna być nasza troska o podtrzymanie na duchu i zdrowiu tych, którzy w nieszczęściu swym są tak bliscy sercu każdego Polaka.

I właśnie ta "paczka od serca" to nie tylko pomoc materialna, to znak widomy, który nie pozwala żołnierzowi w niewoli zwątpić, każąc mu natomiast wierzyć, że nie jest on pozostawiony sam sobie, że jest on komuś bliski i że ktoś troszczy się o niego.

W związku z tym, tych drogich nam jeńców, których wraz z nami "Polska Walcząca" w osobie Pana Redaktora miała w Swej opiece, pozwalamy sobie i nadal polecić żywej pamięci miłych Czytelników oraz Jego gorącemu sercu.

Łączymy wyrazy poważania
Sekcja Opieki Nad Jeńcami
S.S.S.K.

Sekretarka Sekcji
W. Bagińska

Przewodnicząca Sekcji
Zofia Katelbach

Kącik językowy

Na prośbę powołanego niedawno do życia Komitetu Czystości Języka Polskiego redakcja "Polski Walczącej" przystępuje do utworzenia "Kącika Językowego". Zamieszczane w nim będą odpowiedzi na pytania czytelników, dotyczące wszelkich wątpliwości gramatycznych lub słownikowych.

Jesteśmy pewni, że ogół naszych przyjaciół powita "Kącik Językowy" z zadowoleniem. Życie codzienne nastręcza każdemu z nas coraz więcej kłopotów językowych. Przezwyciężenie ich może znacznie ułatwić porada, udzielona przez specjalistów. Chodzi nie tylko o poprawne używanie wyrazów znanych, lecz także o radzenie sobie w tych wypadkach, kiedy — jak to się np. często zdarza w dziedzinie techniki — odczuwamy brak polskiej nazwy.

Ogłaszamy "Kącik Językowy" za otwarty. Od Was, drodzy Czytelnicy, zależy, czy świecić będzie pustką, czy też stanie się ożywioną trybuną, zaspakajającą jedną z naszych bezspornych potrzeb zbiorowych. Nie wahajcie się pisać nawet w sprawach pozornie drobnych, gdyż od takich drobiazgów zależy nieraz czystość naszego wspólnego skarbu — mowy.

Korespondencję w sprawach językowych należy przesyłać pod adresem redakcji "Polski Walczącej", zaopatrując kopertę napisem: "Kącik Językowy".

DLA POLAKÓW W ROSJI

Redakcja "Polski Walczącej',
Przesyłam w załączeniu 10 sh. na Pomoc Polakom w Rosji.

Strumieński M.

FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14-ej WLKP DYW. PIECH.

Na Fundusz wdów i sierót po poległych żołnierzach 14-tej Wlkp. Dyw. Piech. 11 sh. składa.

A.J.S.

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY

Z okazji imienin tut. polskiego dowódcy mjr. Karola W. zamiast prezentu imieninowego, starsi podoficerowie R.A.F. st. Cr. ofiarowują £5 /pięć funtów/ dla rannych żołnierzy z Polskiej Brygady Spadochronowej.

NA CZERWONY KRZYŻ

Żołnierze polscy z kat. zdr. "E", z Sand-House, Szkocja, zebrali na P.C.K. kwotę 11 sh. 6 d.

Żołnierz z frontu prosi nas o zakupienie dla niego książki prof. A. Pożaryskiego p.t. "PRZYSTĘPNA ELEKTROTECHNIKA PRĄDÓW SILNYCH". Ponieważ książka ta jest wyczerpana, prosimy Czytelników o łaskawą pomoc w nabyciu egzemplarza tej książki po cenie rynkowej.
Zgłoszenia do Redakcji "P.W."

Dowódca i żołnierze 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich proszą wszystkich rannych Jazłowiaków o spędzanie urlopów w Pułku i podawanie swych adresów natychmiast po przybyciu do Anglii na adres: Adiutant Polish Forces P/35.

RANNI ŻOŁNIERZE

pochodzący z terenów Polonii Zagranicznej proszeni są o podawanie swoich adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Na pomoc Warszawie: £1,216

W załączeniu przesyłam postal order na 18 sh. /osiemnaście szylingów/. Pieniądze te zostały zebrane przez rannych w jednym z baraków na pomoc ludności Warszawy.

por. K.Śl.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej',
Zamiast kwiatów dla żony z okazji urodzenia syna Marka — przesyłam jeden funt /jeden/ na dzieci polskie w Warszawie.
Z poważaniem

Porucznik T., Edinburgh

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej',
Przy niniejszym £21 /słownie: dwadzieścia jeden funtów/ zebranych przez żołnierzy . . . Komp. . . . Baonu Szkockiego, z prośbą o przekazanie na rzecz pomocy Warszawie.

Dowódca Komp., Z.Z. por.

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 dla Warszawy.

Redaktor "Polski Walczącej",
Przekazuję za pośrednictwem "Polski Walczącej" następujące dary, które wpłynęły na konto tut. Wydziału:

1/ na pomoc dla Warszawy, składki żołnierzy w Domu Żołnierza w Edinburgh'u, po odbytym dnia 27.IX. b.r. koncercie Czoł. Muzycznej tut. Dowództwa	£1.15.9
2/ na Czerwony Krzyż, żołnierze polscy z kategorią zdrowia "E". Sand-House — Szkocja	£ .11.6
Razem	£2. 7.3

Słownie: dwa funty, siedem szylingów i trzy pensy.

Szef Wydziału Opieki Nad Żołnierzem
mjr. K.K.

* * *

Dla uczczenia ś.p. Stanisława Skarżyńskiego płk. pil. w dzień zaduszny składają £1.

Żona z synem

The Lauder Ranger Company handed to the O.C. 14th Lancers Polish Forces a cheque for £37 /thirty seven pounds/ for the Warsaw Children Relief Fund.
We acknowledge with thanks the receipt of this generous donation.

* * *

Przesyłam postal order na kwotę £8.4.10½ zebranych z okazji imienin dowódcy . . . komp. C.W.Ł. kpt. K.T. na fundusz pomocy Warszawie.

Oficer opieki ppor. S.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £71.18.7½ /słownie: siedemdziesiąt jeden funtów, osiemnaście szylingów, siedem i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,216.5.11½ /słownie: tysiąc dwieście szesnaście funtów, pięć szylingów, jedenaście i pół pensa/.

NA POMOC DLA POLAKÓW W KRAJU

Redaktor "Polski Walczącej",
Przekazuję za pośrednictwem "Polski Walczącej" następujące dary, które wpłynęły na konto tut. Wydziału:
Na pomoc dla Polaków w kraju:

1/ Szwadron Regulacji Ruchu . . . Dyw. Pancernej ...	£13.0.0
2/ Lady Antrobus, Shenfield — Essex	£ 2.0.0
3/ The Lindsay High School, Bathgate — Szkocja	£ 2.0.0
4/ Auchmore Aux. Hospital, Killin — Szkocja	£ 3.0.0
Razem	£20.0.0

Słownie: dwadzieścia funtów.
W załączeniu czek na powyższą sumę.

Szef Wydziału Opieki Nad Żołnierzem
mjr. K.K.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sirs,
Please accept this small donation of £1 for the Polish Children Rescue Fund.
I love children, and it makes me very unhappy to think of what many children in Poland must be suffering. I wish I could do so much more for them.
Yours sincerely,

L. P. Henderson /Miss/

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam kilka podręczników nauki języka angielskiego i kilka broszur do ewentualnego wykorzystania.
Z poważaniem

Inż. A. Pilch

Załączone: "1000 słów po angielsku", MacCallum: "Nauka angielskiego" /2 egz./, "Mój sekretarz", "Nazywam się Milion", "Zagroda i wspólnoty", A. Robson: "Ustrój Wielkiej Brytanii", "Towarzysze broni", St. Majewski: "Jedenasty pancerny", T. Śmigielski: "Przemiany sposobów walki", "World Digest", "Readers Digest", 2 egz. "Strand Magazine", 3 egz. "Polski Walczącej".

* * *

Bezimiennie dla żołnierzy na Wschodzie: J. T. Wróblewski: "Hanczyna dola", "Antologia poezji współczesnej", M. Hemar: "Adolf wielki", R. Umiastowski: "12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża", A. Słonimski: "Alarm", "Sprawy polsko-rosyjskie", A. Doboszyński: "Wielki naród", St. Mackiewicz: "Czekamy" i "Sosnkowski", M. Niedźwiecki: "Z walk tatarskich".

Bezimiennie: F. J. Camm: "Motor-Car Principles and Practice", 12 numerów: "Scotland and its People". 12 zeszytów: "Britain and its People", "The Abbey is Ours", "Za naszą i waszą wolność".

* * *

Bezimiennie dla żołnierzy na Wschodzie: 2 zeszyty "Nowej Polski", 2 egz. "London Opinion", "Men Only".

* * *

P.P. przesłał: 13 egz. Vernon Bartlett: "Unknown Europe", 11 egz. "Poland and Scotland", 2 zeszyty "France Libre".

ś. ✝ p.

plut. pchor.
WACŁAW ŁAPIŃSKI

mgr. praw, wychowanek Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, ur. 20.V.1911 r. w Mińsku Litewskim — poległ na polu chwały w walkach 1. Dywizji Pancernej w ALPHEN w Holandii w dniu 6.X.44 i został pochowany na tamtejszym cmentarzu o czym zawiadamiają

Przyjaciele i Koledzy

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

"PESTKI" W NOWEJ BRONI



—Panie pułkowniku, niech pan da rozkaz tym żołnierzom, ażeby opuścili lotnisko! Moje "Pestki" wstydzą się skakać! Chłopcy je podpatrują . . .

ROZMOWA Z ANGLIKIEM

—Ja was nie rozumiem! Wy tylko modlicie się, zamiast cierpliwie czekać. O co wy się tak modlicie?
—Ażeby rekiny nie zjadły Karty Atlantyckiej . . .

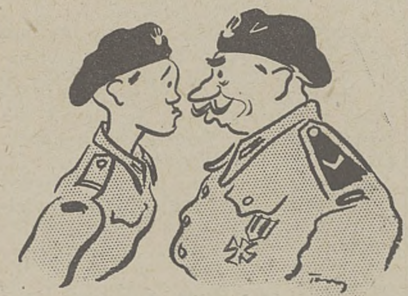
WYWIAD ZE SPADOCHRONIARZEM

—No, jak tam było pod Arnhem — pytają spadochroniarza.
—Klawo, tylko nudno! Gdyby nie to strzelanie, to by się człowiek na śmierć zanudził! Ani kina ani dancingu w tej Holandii . . .

WYJAŚNIŁ . . .

—Więc pan przyjął stopień podporucznika czasu wojny?
—Nie chciałem, ale żona mnie namówiła! Pan rozumie, wszystkiemu winne są te kupony . . .

ŻARGON ŻOŁNIERSKI W HOLANDII



—Coś ty powiedział, że nasz dowódca to kanalarz???
—A jeden kanał po drugim to kto zdobył?! Może ksiądz? . . .

WŚRÓD STARSZYCH WIEKIEM OFICERÓW — ZWOLNIONYCH Z WOJSKA

—Panie pułkowniku, tylko niech się pan nie przyznaje, że ma pan średnie wykształcenie! Jeszcze mogą pana szurnąć do podchorążówki! Jest olbrzymie zapotrzebowanie na młodszych oficerów . .

ROZMOWA ANGIELKI Z POLAKIEM

Angielka: — To jest fatalne, że komitet lubelski nie umie po angielsku. Na pewno dogadałby się z wami . . .

W BIURZE TECHNICZNYM

Szef: — Pan już nie umie narysowak prostej linii, tylko jakąś Curzona . . .

ROZMOWA Z ANGLIKIEM

—Jak pan sobie wyobraża oświadczenie, że Polska będzie większa na mapie?
—Po prostu pod szkłem powiększającym . . .

MAKABRYCZNY DOWCIP

Deszcz leje — przenikliwe zimno. Nad grobem żony, 85-cio letniej staruszki stoi mąż. Ma 96 lat . . .
—No i co pan teraz będzie robił?
—Wracam do domu.
—Na taką pogodę??? Że się też panu opłaca . . .

ROZMOWA W KASYNIE

—Czy pan uwierzy, że ja jestem 17 lat rotmistrzem! . . .
—Mój panie ja jestem 17 lat żonaty i nie skarżę się . . .

BANKIET POŻEGNALNY FIRE-WATCHERÓW



. . . Koledzy w tak miłym gronie już nieprędko się zobaczymy, chyba że Bóg da nową wojnę . . .

PODNIECONY MŁODY LEKARZ

—Zrobiliśmy wszystko, aby uratować pacjenta. Jeszcze ostatnia nadzieja — amputacja głowy . . .

CIERPLIWY

Home Guard ma ćwiczenie. Kapitan daje rozkaz jednemu z żołnierzy, ażeby zamaskował się i udawał drzewo. Ma tak stać w pozycji nieruchomej przez trzy godziny.

Po pewnym okresie czasu, zjawia się sztab. Szukają zamaskowanego żołnierza. Niestety "drzewo" ulotniło się. Dopiero po chwili z rowu wyłazi "obgryzione drzewo".
—Dlaczego nie wykonaliście rozkazu?
—Wykonałem! Stałem nieruchomo dwie godziny, ale później wzięła mnie pasja. Najpierw podbiegł piesek i zostawił ślad. Nawet nie drgnąłem. Przyszła owca i obgryzła mi wszystkie liście. Też stałem, jak mur, ale gdy przyszedł polski żołnierz ze Szkotką i zaczął mi wycinać na siedzeniu serce przebite strzałą — to już nie wytrzymałem . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie:

1/ Które stworzenia z poniżej wymienionych są ślepe: a/ nietoperze, b/ mole, c/ sowy, d/ padalce, e/ glisty.

2/ Czy znasz nazwy siedmiu największych planet, w porządku ich odległości od słońca?

3/ Jeśliby olbrzymia eksplozja miała miejsce na księżycu, jak długo by trwało, zanim usłyszelibyśmy ją na ziemi?

/Odpowiedzi na końcu tego kącika/

Pewien urzędnik poprosił swego pracodawcę o podwyżkę.
"Za co należy ci się podwyżka — jest dla mnie zagadką? Rok ma 365 dni. Z tego śpisz 8 godzin dziennie t.j. 122 dni w roku. Zostaje 243 dni. 8 godzin dziennie odpoczywasz. Zostaje 121 dni. 1 godzinę dziennie tracisz na obiad. To jest 15 dni w roku. Zostaje 106 dni. Nie pracujesz w niedziele t.j. 52 dni w roku. Zostaje 54 dni. Sobotę popołudniu masz wolne, co równa się 26 dniom w roku. Zostaje 28 dni. 2 tygodnie wakacji i conajmniej jeden tydzień choroby. Zostaje 7 dni. A Nowy Rok, Boże Narodzenie, Wielkanoc i inne święta, nie mówiąc o 3-cim maja, o 11 listopada i o tym, że w ogóle pętasz się po biurze i nic nie robisz. Nie! Nie dostaniesz podwyżki!"

/d/

Wielkim przebojem muzycznym była w Niemczech pieśń "*Wir fahren gegen England*" /jedziemy przeciw Anglii/. Holendrzy nazywają tę pieśń "*Niegelungenlied*".

/d/

Odpowiedzi:

1/ Nietoperze, mole, sowy i padalce mają oczy i widzą. Tylko glisty są ślepe.

2/ Merkuriusz, Wenus, Ziemia, Mars, Jupiter, Saturn, Neptun.

3/ Eksplozji nie usłyszelibyśmy nigdy. Głos nie może przedostać się przez pustkę i dlatego nie dosięgnąłby nigdy atmosfery ziemi.

/d/

Tekst i rysunki: TONY

Mr. Kazimierz Hudela, 302, Fair Street, Kingston, New York, U.S.A. pragnie nawiązać kontakt z żołnierzem lub uchodźcą polskim z zawodu krawcem celem ewentualnego porozumienia się co do możliwości wspólnego prowadzenia interesu krawieckiego w Stanach Zjednoczonych.

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Niepodległość. — *Jerzy Faczyński:* rysunek. — *Triarius:* Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — *Maciej Feldhuzen:* Na okupowanej ziemi Niemiec /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Maria Ilińska:* Kobietom Warszawy, które Niemcy pędzili przed czołgami. — *Porucznik Herbert:* A — jak ciocia Andzia /II./. — Dywizja Pancerna w Holandii /reportaż fotograficzny/. — *Tadeusz Meissner:* s/s "Warszawa" tonie! — *Gustaw Nierad:* Echa leśne. — Skrzynka pocztowa. — Kącik językowy. — Na pomoc Warszawie. — Na Polish Children Rescue Fund. — Na P.C.K. — Na paczki dla rannych. — Na wdowy i sieroty po żołnierzach b. 14. Wlkp. Dywizji Piechoty. — Zbiórka książek. — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie.

POSZUKIWANIE

Poszukuje się STANISŁAWA ŚWIESZCZA, urodzonego w dniu 20 lipca 1903 r., b. urzędnika Banku Rolnego we Lwowie, zamieszkałego tamże na Stryjskiej nr. 36. Aresztowany we Lwowie w 1940 r. umieszczony w więzieniu przy ul. Jachowicza we Lwowie. W dniu 15 maja 1941 r. wyprowadzony i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Według przypuszczenia został umieszczony w więzieniu w Brygidkach lub na Zamarstynowie we Lwowie.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.